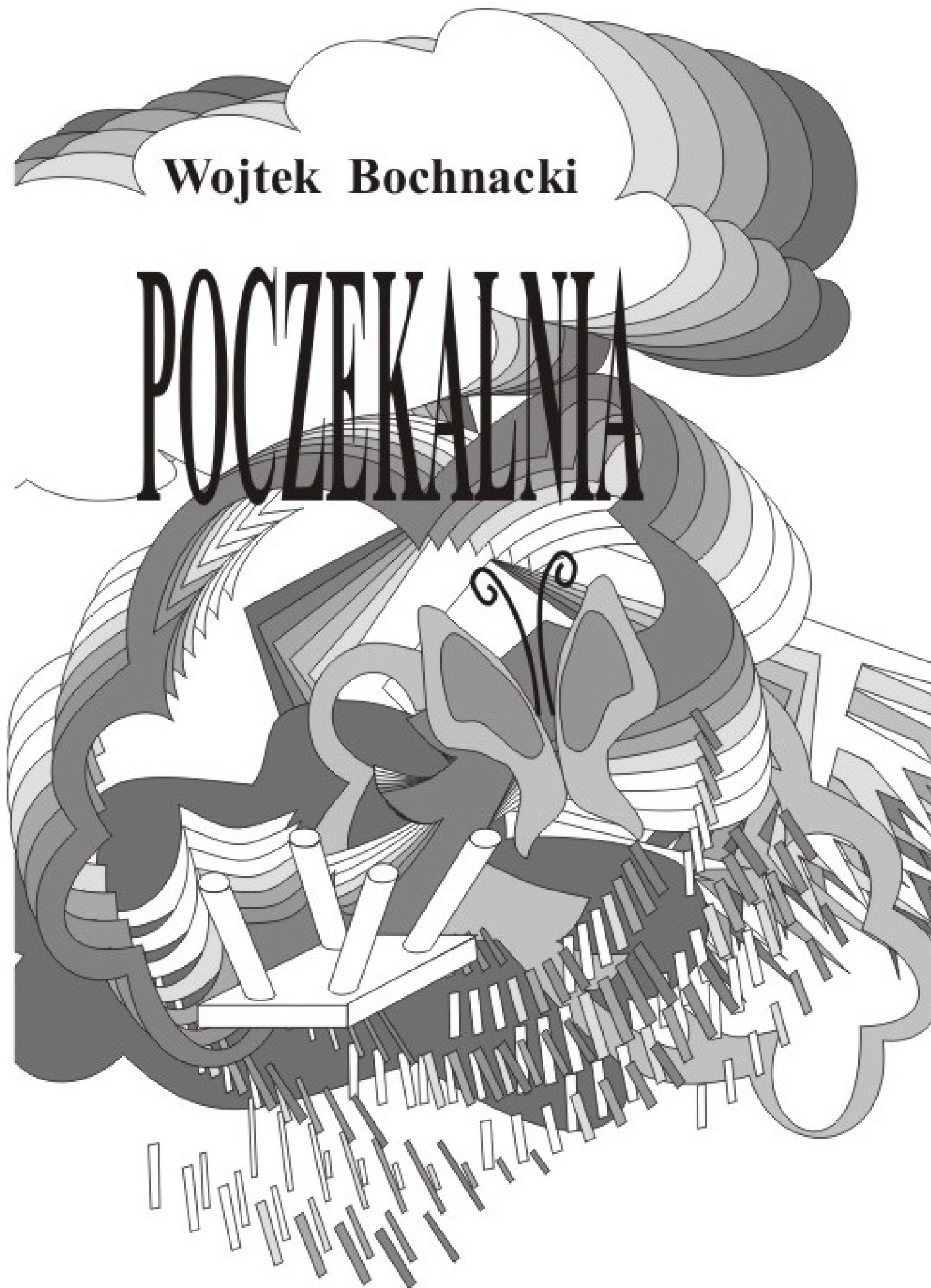


Wojtek Bochnacki

POCZEKALNIA



Wojtek Bochnacki

POCZEKALNIA

ISBN 83-908738-2-6

Spis treści

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA KLARY - CZYLI WSPÓŁCZESNA MINIPOWIEŚĆ EROTYCZNA	4
Rozdział I - <i>Klara widziana oczami Teofila</i>	4
Rozdział II - <i>Janusz Ciec - jej narzeczony</i>	6
Rozdział III - <i>O tym, co wydarzyło się na szosie E-12</i>	7
Rozdział IV - <i>Pomiędzy Prawdą a Szatanem</i>	10
Rozdział V - <i>Rozdział, na który z pewnością czekaliście</i>	13
Rozdział VI - <i>Zakończenie</i>	14
JESIENNA PRZYGODA	16
OSTATNIA JESIEŃ PEWNEJ BRZYDULI.....	17
POCZEKALNIA.....	20
KRÓTKA PRZYPOWIEŚĆ O CIERPIENIU.....	22
NIEBAŚNIOWA HISTORIA	25
ZAGŁADA MAŁEJ CHATKI.....	30
BAJKA NA DOBRANOC	36

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA KLARY - CZYLI WSPÓŁCZESNA MINIPOWIEŚ EROTYCZNA

Rozdział I - Klara widziana oczami Teofila

Teofil Knotowski zdyszany wbiegł do szarego gmachu Business - school. W pośpiechu oddał do szatni swój długi, brązowy prochowiec, przygładził rozwichrzone, rzadkie włosy i otrzepał marynarkę. Przyjęcie dopiero się rozpoczynało, spóźnił się więc niewiele. Jego rozgracony maluch, kupiony na raty z przeceny, znów nawalił. Ale zawsze to samochód. Jako młody, początkujący dziennikarz i jednocześnie zaoczny student anglistyki i tak był dumny ze zdobycia choć takiego środka lokomocji. Zepsuty i ciasny, ale zawsze własny, jak to mówią. Teofil nerwowo mrugając oczami zza okularów w drucianych oprawkach wszedł na bankiet. Panował tu miły gwar, a odświętnie ustrojeni ludzie sympatycznie konwersowali ze sobą, zającąc to i owo z tak zwanego „szwedzkiego stołu”.

Ależ oczywiście, że Teofil się nie denerwował. Może trochę drżała mu dolna szczęka i pocily się dłonie, ale to z tego pośpiechu! Teofil zastanawiał się chwilę, czy posłużyć się dyktafonem, czy wszystko tradycyjnie notować ołówkiem na papierze.

Przez ogromne, przeszklone okna zaglądały niskie, bure chmury. Ponuro lśniły szare marmury, którymi wyłożone były ściany i podłoga.

Zadaniem Teofila było napisanie krótkiej relacji na pierwszą stronę z tego spotkania powiatowych osobistości. Knotowski z trudem wbił się w tłum rumianych i zadowolonych biznesmenów i bizneswomek.

- Byżneś jest byżneś. Che! Che! - rechotał jakiś grzmiący bas.
- A jakie rokowania w sferze budżetowo-przyszłościowej na rok bieżący?

Pryszczaty młodzieniec o czerwonej twarzy, kontrastującej z zielenią jego eleganckiego garnituru wbił twardy łokieć w bok Teofila.

- Sorry! - zawołał beznamiętnie. - Projekty inwestycji modernizacyjnych... O! Szampan!

- Najgorszy ten brak choćby chwili dla siebie - skarżyła się jakaś korpulentna, mocno uszminowana jejmość. - Sewerynie, koniecznie zadzwoń do mnie we wtorek!

Teofil dopchał się do mahoniowego, przeszklonego barku.

- Jin z tonikiem, czy whisky z wodą? - zapytał barman.
- Zwykle piwo - powiedział Teofil. - Jeśli oczywiście macie.

Barman skrzywił się pogardliwie i z obrażoną miną podał spieniony kufel złotawego płynu. Płyn ten był wyjątkowo paskudny, za to drogi i podany w firmowym, plastikowym kubku z napisem: „Business-school party”. Teofil rozglądał się niepewnie dookoła.

- Banda snobów i żałosnych pozerów - powiedział nagle ktoś tuż obok Teofila. Był to jakiś bezczelnie przystojny blondyn z malowniczo zaczesaną na bok długą, lekko falującą grzywą. Stał leniwie oparty o barek i wodził znudzonym wzrokiem po sali. - Popatrz pan na nich.

- Teofil Knotowski - zawołał Teofil mechanicznie. - Dziennikarz - dodał z dumą w głosie.

Blondyn spojrzał na niego z przekornym zainteresowaniem. Przez twarz Teofila przebiegł gwałtowny, nerwowy skurecz, zeszczywniała mu szyja, a oczy przybrały dziwny wyraz lekkiego wytrzeszczu.

- Nie jestem jeszcze znany w branży - powiedział nonszalancko bezczelnie przystojny blondyn. - Zaczęłam od niedawna, ale wkrótce będę jedną z głośniejszych figur w dziale marketingu i reklamy. Co za lala! - zawołał nagle na widok kościstej brunetki, która celowo ograniczała do minimum ruchy swego oblicza, aby nie zaszkodzić grubej warstwie make-up`u, maskującego jej prawdziwą twarz. - Pieniądze, sława - to imponuje kobiecie, lecą na to jak pszczoły do miodu! Co za lale! Wszystkie lecą na szmal! To jest to, czym zdobywa się dziś kobietę! A ja będę to wkrótce miał! Ta też jest niezła. Kobiecie nie trzeba poświęcać dużo czasu. Ale kobieta ceni tylko tych mężczyzn, z którymi spędza te krótkie, wspólne chwile w sposób intensywny i w wielkim stylu. Dansingi, luksusowe restauracje, ekskluzywne hotele, ba, a to wszystko kosztuje!

- Zapamiętam - powiedział sztywno Teofil.

- Aha, oto moja wizytówka - rzekł protekcyjnie przystojny blondyn. - Już niedługo może się przydać!

Fala spragnionych, eleganckich biznesmenów, tłumnie pchających się do barku, rozdzieliła ich. Teofil został brutalnie wtłoczony w sam środek rozprawiającego o podatkach i dochodowych inwestycjach nie znanego mu świata BIZNESU.

- Poszukujemy młodych, zdolnych, ekspansywnych, kooperatywnych, dyspozycyjnych i przedsiębiorczych! Jesteś taki?!!

Teofil zamrugał nerwowo oczami i szybko pokiwał głową.

- Języki?

- Angielski - rzucił dławiającym się głosem. Nagle przypomniał sobie, że to on jest przecież dziennikarzem i zadawanie pytań to jego działka. - A co to za praca?

- Tylko? - zaśmiała się dziewczyna. Miała krótkie, pozlepiane grudkami tuszu rzęsy.

- Ale za to biegle - zaczerwienił się Teofil.

- Aha - powiedziała dziewczyna, zapisała coś w swoim notesie i odwróciła się.

- Zaraz, zaraz - zawołał Teofil. - A co to za praca?

- To tylko kwestionariusz badający możliwości rynku wobec pracodawców - zaśmiała się ponownie ankieterka. - Robota głupia, ale płacą nie najgorzej. Ale nie ma już miejsc - dodała szybko i zniknęła w tłumie.

- Czas rozkręcić swój byznes, co?! - zaśmiał się krotkochwilnie jakiś tęgi, różowy jegomość i klepnął Teofila po ramieniu.

Podstarzała hostessa w przykrótkiej spódniczce i z demonicznym makijażem na twarzy roznosiła kawę oraz papierosy, szczyrzyła się przy tym wyjątkowo nieszczerze.

- Jeszcze pan tu jest? - zawołał, nagle wyłaniając się z tłumu ów blondyn z długą, falującą grzywką. - Myślałem, że wszystkich już stąd wymiotło. Otworzyli nowe Centrum Handlowe, będzie masa osobistości, sam wiceprezydent powiatu z małżonką!! Wszystkie osobistości już tam poleciały. Tu zostały tylko płotki. Właściwie teraz iść tam to już nie ma sensu. Za późno. Ale Targi Expandore Mix otwierają za dwie minuty! Idzie pan? - Nie czekając na odpowiedź Teofila, zmienił nagle temat. - Co za sztuka! Ale suczka! Nogi to chyba ma do samej ziemi! Kurde felek!

Teofil spojrział we wskazanym kierunku. Dostrzegł wysoką, szczupłą blondynkę o burzy złocistych, wysoko upiętych loków. Dziewczyna odziana była w bardzo krótką, czarną, obcisłą sukienkę, podkreślającą wszystkie walory jej doskonale zbudowanej figury. Tak ostentacyjne obnoszenie się ze swoją urodą zawsze peszyło Teofila. Jej nachalna kobiecość krępowała go, ale i podniecała zarazem. Pożerał ukradkowymi spojrzzeniami jej wspaniałe nogi, sprężyste piersi i wydatne, namiętne usta. Natarczywa, niczym nie skrępowana zmysłowość tej dziewczyny obezwładniała go i wprawiała w zakłopotanie. Czuł się osaczony. Tak, osaczony!! Ale i zahipnotyzowany! Zwodniczy erotyzm tej prowokująco ubranej blond piękności... Zaraz, on ją przecież zna! Przypomniał sobie, że kiedyś ktoś ich sobie przedstawił. Była to Klara, studiowała coś, geografię czy socjologię, jedna z tych, co zakłada nogę na nogę, siedząc w pierwszym rzędzie audytorium. Co ona tu robi? Jest hostessą?

Oczywiście Teofil miał wielką chęć zapytać o to dziewczynę, zwłaszcza, że znajomość z takim „towarem” bardzo podniosłaby go w oczach zarozumiałego, beczelnie przystojnego blondyna. Nie żeby Teofil miał kompleksy! Oczywiście, że nie! Miał się czym pochwalić, same sukcesy. Był na delegacji w Kopenhadze, delegacji, która właściwie była odpoczynkiem, napisał tam jakąś relację, oczywiście dziennikarstwa uczył się dopiero, ale już go ceniono, choćby to, że posłano go dziś tutaj właśnie, a nie na przykład kogoś innego, było to wielkim wyróżnieniem. Zresztą Teofil, gdyby chciał tylko, no i gdyby trzeba było, mógłby już utrzymać nawet trójosobową rodzinę! Oczywiście nie miał przez to czasu dla siebie, ciągle w rozjazdach, kulały na tym trochę jego studia, ale mógł już utrzymać nawet kobietę z dzieckiem. Nie żeby miał kompleksy, czy też żeby nadęty blondyn mu jakoś specjalnie imponował swym rzekomym obyciem w tutejszym świecie, o nie! Ale miło byłoby przytrzeć mu nosa, przedstawiając tę niezłą „sztukę” jako swoją bliską, może nawet bardzo bliską znajomą.

Pozostawał tylko jeden drobnutki problemik: czy Klara będzie go pamiętała? Nie zwróciła wtedy szczególnej uwagi na niższego od siebie o głowę, niepozornego okularnika. Choć on ją doskonale zapamiętał! Zwłaszcza jej dekolt, który akurat znajdował się na wysokości jego oczu. Miała tak jędrne, bujne piersi...

Osobną sprawą pozostawał fakt, że Teofil zawsze peszył się w towarzystwie atrakcyjnych, wystrzałowych kobiet. Należało więc mieć nadzieję, że Klara jest głupia. Wyższość intelektualna nawet nad atrakcyjną kobietą zawsze dodaje mężczyźnie odwagi. Ale z atrakcyjną, głupią kobietą w ogóle nie ma rozmowy! W sumie byłoby to więc jeszcze gorsze, niż gdyby Klara była atrakcyjna i błyskotliwa! Ale jeśli jest błyskotliwa, może się zdarzyć, że jej wyeksponowane walory fizyczne przytępią nieco jego intelekt i wtedy o n wyjdzie na głupca!

Teofil liczył więc już teraz tylko na to, że może Klara go nie pozna. To rozwiązałoby tę tak kłopotliwą dla niego sytuację. Knotowski zaczął więc rozglądać się nerwowo na boki. Niestety, w ten właśnie sposób zwrócił na siebie uwagę dziewczyny. Klara, uśmiechając się promiennie i z daleka machając ręką, przeciskała się już ku niemu.

- Co tu robisz? - zapytała wesoło, poprawiając roztrzepane, wysoko upięte loki.

- A ty? - odparował błyskawicznie grobowym głosem Teofil. Wbrew sobie zeszytywniał całkowicie, wyraz twarzy miał skupiony, a jego słownik (bierny i czynny) zredukował się nagle do krótkich, monosylabowcowych wypowiedzi.

- Szukam mojego chłopaka, gdzieś mi się zawieruszył.

- Znacie się? - zawołał podekscytowany blondyn. Oczy mu rozbłysły, a on sam wyprężył się jakoś i jakby wyprostował.

- Tak - głucho odpowiedział Teofil.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - powiedział kurtuazyjnie przystojny blondyn, odgarniając z czoła swą jasną, falującą grzywę. - Antoniusz Mydłkowski.

- Bardzo mi miło, Klara Rozchocińska - blondyn uchwycił w locie jej białą, delikatną dłoń i podniósł ją ku swoim ustom. Niestety, nie wyhamował w odpowiednim momencie. Jej omdlewająca dłoń, pchana siłą bezwładu, wyrznęła go prosto w nos. Oboje zaśmiali się nerwowo.

- Och, chyba widzę mą zgubę! - zawołała Klara. Teofil dostrzegł w tłumie jakieś obgolone na jeża, masywne bydlę w popielatym garniturze. - Wybaczcie, idę! Do zobaczenia na uczelni!

- To Janusz Ciec - szepnął Teofilowi do ucha blondyn. - Znana figura w tutejszym biznesie! Z pewnością zaraz stąd znikną, aby udać się na Expandore Mix.

Klara dopchała się już do zwalistego prosiaka w popielatej marynarce, rozmawiającego z kimś w sztywnym, ciemnym garniturze.

- Mam już dość tej bandy snobów! - wrzasnęła. - Dość! Słyszysz!?! Twarz boli mnie już od tego ciągłego szczyrzenia się!

- Ależ Klaruś, ciszej. Zaraz wychodzimy. No, kiciuś, nie denerwuj się.

- Nie zaraz, tylko teraz!!

- Klaro, zrozum. Interesy.

- Wychodzę!! Z tobą lub sama! - powiedziała Klara i zaczęła przeciskać się do wyjścia.

- Ależ kiciu! - zawołał Janusz i, przerywając swą wcześniejszą rozmowę, zaczął przepychać się za nią.

- A nie mówiłem, że nikt z szanujących się osobistości tu nie zostanie! - triumfował blondyn.

Ale Teofil go nie słuchał. Klara odeszła. Jeśli można się czuć samotnym w tłumie, to takim właśnie osamotnionym osobnikiem poczuł się teraz Teofil.

Pal sześć reportaż! Wymyśli coś na poczekaniu!

Knotowski, nie bez trudu, rozpychając się łokciami, zaczął powoli przemieszczać się ku drzwiom.

Rozdział II - Janusz Ciec - jej narzeczony

Luksusowy, lśniący-czerwony porsche z piskiem opon zajeżdżał przed przeszklony budynek Eat-House'u. Betonowy, elegancki podjazd prowadził wzdłuż tylnej ściany budowli. Pracownik w błękitnej koszulce i firmowej czapeczce z daszkiem przekopywał trawnik. Po prostu odcień zieleni wyrosłej wokół trawy nie odpowiadał normom firmy Eat-House.

W okienku Eat-House - fast foods-drive pojawiła się blada panienka z mdłym uśmiechem.

- Służę uprzejmie - zakwiliła słodko.

Janusz Ciec - młody biznesmen i wiceprezes ogólnopowiatowej korporacji MSQ - Papier Toaletowy i Inne - powoli odkręcił szybę swego porsche.

- Chwileczkę - rzekł ten młody, okazały mężczyzna i puścił oko do sprzedawczynie. Dziewczyna zarumieniła się i spuściła oczy. - Klaruś, kochanie, co zamawiamy?

Klara przymknęła ze znużeniem swe mocno wymalowane powieki:

- Zamawiaj, co chcesz.

- Ależ Klaro - powiedział czarującym barytonem Janusz. - Jestem tu dla ciebie! Wiesz, że czas na porządną restaurację mam dopiero za tydzień. Ale to jeszcze nie powód, aby się tak dąsać.

- A ty wiesz, że nie znoszę Eat-House'u! Przypominają mi się czasy, kiedy sama tu pracowałam.

- Zapomniałem kochanie, ale najbliższy Mister Cook jest o pół godziny drogi stąd.

- Wiesz, że Mister Cooka też nienawidzę! To jedno i to samo! Zamawiaj, co chcesz.

- Dwa bigcaty poproszę.

- Duże, czy małe? - zapytała sprzedawczynie.

- Duże, a do picia dwa move-milki.

- Super, extra, czy lux?

- Extra.

- Już przesyłam fax do następnego okienka - powiedziała dziewczyna i znów zarumieniła się pod spojrzeniem Janusza.

„Głupia geś” - pomyślała Klara. - Sprawdzę, czy rzeczywiście bigcaty będą miały 10 x 20 x 4,5 centymetra! - powiedziała głośno.

- Kochanie! - zaśmiał się dobrodusznie Janusz, poprawiając w lusterku nastroszone, mocno wyzelowane włosy. - To, że tobie robili z tego powodu kłopoty, nie znaczy, że musisz być teraz tak złośliwa.

- Lepiej zmień fryzjera - powiedziała Klara, odwracając się w drugą stronę. - Krzywo cię podstrzygła. Janusz z niepokojem obmacał swój wygolony, masywny kark:

- Nie mówisz poważnie. Zresztą skąd wiesz, że to była kobieta?

Cichy, zduszony dźwięk przerwał im rozmowę.

- Co to? - zimno spytała Klara.

- Mój komórkowiec - powiedział Janusz, a jego dokładnie wygolone policzki jakby lekko się zarumieniły. - Zawsze zapominam, do której kieszeni go włożyłem. A jest. Tak! Hallo!

W następnym okienku pojawił się jakiś młodzieniec, oczywiście w firmowej czapeczce i niebieskiej koszulce z napisem „Eat-House”. Klara w skali od 1 do 10 oceniła go na minus cztery.

- Dwa kotletcaty i polodrinki? - zapytał sprzedawca.

- Momencik - zawołał Janusz, przyciskając do ucha ciemny plastik telefonu komórkowego. - Tak, słyszę cię dobrze. 10? Okey! Co?... Nic nie słyszę! - Janusz stuknął parę razy komórkowcem w kolano. - Tak, teraz dobrze. Poczekaj chwilę! Nie - zwrócił się do sprzedawcy. - To miały być dwa bigcatty i dwa extra move-milki.

- Przepraszam, rano mieliśmy awarię faxu, stąd ta pomyłka. Najmocniej przepraszam. Potwierdzenie zapisane, mogą państwo jechać dalej. Życzę smacznego.

Janusz ruszył. Klara stwierdziła, że powinna zmienić lakier do paznokci, ten był zbyt matowy. Ale Janusz tego nawet nie zauważył. Gdzież tam, niedługo w ogóle przestanie ją zauważać.

- Tak. Dziesięć rolek. Spokojnie. Z dostawą do domu? Dostawa oczywiście gratis!! Ale sprzedajemy wtedy tylko po jedenaście! Proszę się zastanowić. Jedenaście rolek w cenie dwunastu, plus trzynasta w prezencie, za darmo! To czysty zysk! Za jedyne...

Klara odwróciła się z niesmakiem. Janusz powinien zmienić dezodorant, ten jest nie do zniesienia. Uchyliła okno.

- Jaki deser państwo zamawiają? - spytała tandetna, tleniona blondynka w następnym okienku. Grzywkę miała sztywną od nadmiaru lakieru i uformowaną w coś w rodzaju zderzaka samochodowego.

- Nie zamawiamy żadnego - powiedziała Klara.

- Ależ Klaro! - zawołał Janusz z wyrzutem.

- Ruszaj, jeśli nie chcesz, abym dostała szału!!!

- Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko - teraz dopiero zauważyła, że miał obwisłe podgardle i stanowczo zbyt krótką szyję. - Jesteś po prostu nieznośna. Przecież byliśmy dwa tygodnie temu na przyjęciu w Marineau („Jak on to śmiesznie akcentuje” - pomyślała Klara)! O co tobie chodzi!!? Nie mogę może poświęcać ci codziennie tyle czasu, ile byś... Ale za to odbijamy sobie to co jakiś czas i to z nadwyżką!!

- A więc żadnego deseru. Już faxuję! - powiedziała farbowana blondyna. Fax jednak musiał znowu nawalić, bo panienska zniknęła im z oczu, pozostawiając bez opieki swój posterunek.

- Daj jej trochę czasu, bo inaczej nie zdąży przed nami- powiedziała Klara znudzonym głosem.

- Co ty sobie właściwie myślisz! - zawołał Janusz. Zaczynał podnosić głos. Znak, że się już zdenerwował! - Nie, nie do pana mówię! Więc dziesięć? Miało być dwanaście! Tak, tak dwanaście. Odczep się pan wreszcie!!

- Dwa bigcatty i dwa extra move-milki, bez deseru, razem 19 złotych i 99 groszy - wyszczebiotała jakaś pызata i rumiana, młoda siksa z kolejnego okienka. Przez moment mignęła za nią czerwona i zdyszana twarz tamtej farbowanej blondyny. A więc zdążyła!

- Już płacę - powiedział pokornym głosem Janusz i zaczął nerwowo obmacywać kieszenie marynarki. Ten wąski, skórzany krawat to jednak był szczyt bezguścia.

- Objęchały ci skarpetki - zauważyła beznamiętnie Klara. Janusz spojrział na nią niemal z nienawiścią: - 19 złotych i 99 groszy. Już płacę. Momencik.

Klara odrzuciła głowę do tyłu i przytknęła powieki. Otworzyła oczy dopiero, gdy ruszyli.

W następnym okienku potwierdzono, że przyjęto gotówkę w poprzednim i skierowano ich do jeszcze jednego okienka, w którym słodka szczebiotka oznajmiła, że mogą jechać dalej. Wreszcie w kolejnym okienku podano im w dwóch tekturowych opakowaniach, owinięte w firmowy papier, dwa bigcatty i dwa polodrinki.

- Miały być move-milki! - zawołał Janusz.

- Przykro mi, ale mam wyraźnie na faxie zaznaczone polodrinki - uśmiechnął się promiennie młodzieniec o twarzy zidiociałego amorka. - Życzymy smacznego i zapraszamy do nas następnym razem!!

- Właściwie odechciało mi się już jeść - powiedział Janusz i spojrział z wyrzutem na Klarę.

- Tylko nie mów, że to moja wina - beznamiętnie wyartykułowała w odpowiedzi.

Rozdział III - O tym, co wydarzyło się na szosie E-12

Z Mołochowiska Centralnego na Wypierdki Lesiste, w których mieszkała Klara, można było jechać prosto, przez miasto, lub malowniczo biegnącą wśród pól i lasów drogą okrężną. Janusz wybrał właśnie tę krętą

szosę E-12. Chciał po papierowych bigciatach w Eat-House'ie zachwycić Klarę pięknem jesiennych barw. Bywał czasami właśnie taki naiwnie romantyczny. Sentymentalny przyglup!! Utuczony sterydami bałwan!!

- Spójrz na ten las! Uwielbiam ten okres w przyrodzie! Czyż nie jest pięknie? - westchnął Janusz z rozmarzoną egzaltacją w głosie.

O tak, pięknie!!

Przypomniała sobie, jak w te wakacje, na pustej plaży, podziwiali księżyc. Nagle tę ciepłą, sierpniową noc przerwały czułe słowa Janusza: „Nawet miło, tylko to morze trochę za głośno hałasuje! Chodźmy do baru, kochanie, tam będzie weselej”.

Kretyn!!

- Co za kolory. Czemu nic nie mówisz, kiciu?

Janusz uśmiechał się z zadowoleniem. Klara zmrużyła złośliwie oczy. To jego samouwielbienie było po prostu nie do wytrzymania.

- Czy to zasrane radio musi wyc na cały regulator?!! - powiedziała Klara. - Ledwo słyszę samą siebie!

- Wszystko ci dziś przeszkadza! Może powiesz mi wreszcie, o co ci, do cholery, chodzi!?!?

No tak, już zaczynamy choleraми rzucać.

- O wypraszam sobie, ty pierwsza powiedziałaś „to zasrane radio”!!

- Ależ, oczywiście!! Zawsze ja jestem wszystkiemu winna, zawsze jest moja wina.

- Kobieto!! Czy z tobą można w ogóle po ludzku rozmawiać!!

- Jak ściszysz to wyjące przeraźliwie radio, zobaczymy.

- Zmarnowałaś mi dzisiaj dwie bardzo poważne transakcje handlowe!! Czy zdajesz sobie chociaż z tego sprawę!!

- Twój papier t u a l e t o w y źle się sprzedaje?!

Janusz zacisnął wściekle wargi i cały spurpurowiał. Klara obserwowała go ze złośliwą satysfakcją.

- I czego żeś się tak nabzdyczył?

- Wcale się nie nabzdyczyłem!!

- Wcale. Ani trochę.

- Żebyś wiedziała, że ani trochę! - wrzasnął Janusz i wałnął swymi wielkimi łapskami w kierownicę. Ta wgięła się lekko, nieco zaskrzyiała, a samochód skręcił gwałtownie w bok.

- Wariat - powiedziała Klara i skrzywiła się z pogardą.

- Posłuchaj! Jeśli nie chcesz, abym ci coś dzisiaj zrobił, wysiądź lepiej z samochodu!!!

Był doprowadzony do ostateczności. Chyba troszeczkę przeholowała.

- A może tak najpierw zatrzymałbyś samochód, co!!

Janusz gwałtownie zahamował.

- No to wysiadam - rzekła Klara i nie ruszyła się z miejsca.

- A wysiadaj w cholere, myślisz, że cię będę prosił!!

O kurde!! Chyba był na serio wściekły. Ale słowo się rzekło. Klara wyduła pogardliwie wargi i głośno trzasnęła drzwiami. W jego oczach dostrzegła jakby cień niepokoju. Pewnym krokiem ruszyła przed siebie. O nie, za nic się nie obejrzy. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że w tej obcistej, czarnej kiecce, wzorzystych pończochach i czarnych szpileczkach samotnie spacerująca po autostradzie wygląda, delikatnie mówiąc, dość dziwnie. Ale swoje osłupienie i niepewność nadrabiała stanowczą, pewną siebie miną. Nie da mu tej satysfakcji. Nie zobaczy biednej, skruszonej, zagubionej sierotki, wyrzuconej z samochodu. O, co to, to nie. Nigdy. I choćby skamlał, choćby prosił, za nic nie wsiądzie znów do jego auta. Na jego oczach złapie pierwszą lepszą okazję, wsiądzie z pierwszym lepszym i odjedzie w dal. Tak, w dal. A jak znajdą potem w jakimś rowie jej trupa, jej zbeszczonzone zwłoki, będzie miał za swoje. Pożałuje tego, co dziś jej zrobił. Tylko czemu jeszcze nie nadjeżdża!?! Żeby już było po wszystkim!

Czerwony porsche`ak śmignął koło niej dopiero po jakichś dobrych pięciu minutach różnego marszu. A więc tak długo się zastanawiał! Zabiła mu niezłego ćwieka! Odwróciła głowę dumnym i wyniosłym ruchem. Dopiero po chwili, kiedy zniknął już za zakrętem, zdała sobie sprawę, że ją zostawił. Samą. Samiusieńką. Tu. Na tej nieznannej drodze! Klara wiedziała jedno. Musi iść prosto, a może kiedyś, w dalekiej przyszłości, dojdzie do domu. Jak on mógł! Doigrała się! Ale to go nie usprawiedliwia! Bydlę!! Złapanie okazji wcale nie było taką łatwą sprawą. Ludzie patrzyli na nią, jakby z choinki się urwała, albo wypadła sroce spod ogona (czemu akurat te dwa przysłowia przysły jej na myśl). No i oczywiście nikt nie miał zamiaru się zatrzymać!

Jakiś rozlatujący się, żółty maluch przesłonił cały świat wokół wydzielinami swej rury wydechowej. Gdy kłęby smogu rozwiały się na wietrze, dostrzegła, że ów żółty fiacik zatrzymał się na poboczu. Jako jedyny! Gruchot ten nadawał się wprawdzie już chyba tylko na złom, ale zawsze lepiej jechać choćby czymś takim, niż drałować na piechotę te kilkadziesiąt kilometrów dzielących ją od domu. Klara, dyskretnie kołysząc biodrami, podeszła do owego super wozu i zajrzała do środka.

- Teofil!?! - zawołała ni to z radością, ni to ze zdziwieniem.

W fiaciku rzeczywiście siedział nie kto inny jak Teofil Knotowski - początkujący dziennikarz rokującego wielkie nadzieje pisma „Brukowe Świństewka”.

- Podwieszysz mnie?
- Mhm - odparł Teofil i poczerwieniał jak burak.

Klara wsiadła. Teofil nerwowo trzęsącymi się rękoma przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zarzęził smutno i zgasł.

- Chyba nie ruszymy - powiedziała Klara i badawczo spojrzała na Teofila. Knotowski zaczerwienił się jeszcze bardziej i jeszcze raz pokręcił kluczykiem w stacyjce. Niestety z takim samym skutkiem. Ze skupionym wyrazem twarzy Teofil wysiadł z samochodu i otworzył klapę od silnika. Klara wysiadła za nim, ale ponieważ silnik strasznie dymił, na wszelki wypadek trzymała się nieco z boku.

- Zimno trochę, prawda? - powiedziała.

Teofil spuścił głowę i zdjął swój długi prochowiec.

- Dziękuję, nie to miałam na myśli.

Ale Teofil zniknął już w kłębach dymu, wydobywającego się z silnika. Klara założyła więc jego płaszcz. Tak było rzeczywiście lepiej, o wiele cieplej.

- Gotowe - powiedział Teofil.

Silnik tym razem naprawdę zapalił. Ruszyli.

Próby nawiązania jakiegokolwiek dialogu spęłzy na niczym. Teofil nie był typem zbyt rozmownym. Jechali więc w milczeniu. Teofil rzucał krótkie, urywane spojrzenia na jej nogi i strasznie się speszył, gdy go na tym przyłapała. Jechała z kolanami niemal pod brodą, ale to nie żeby go kokietować, a z powodu ciasnoty. No, może nie poprawiła płaszcz, jego poły rozjechały się i jej nogi widoczne były w całej swej wspaniałej okazałości. Ale przecież, gdyby jej nie pożyczył swego prochowca, widok byłby identyczny! Zresztą skoro miała ładne nogi, to niby czemu miała je zasłaniać? Teofil nerwowo przełykał ślinę, ale Klara przestała na niego zwracać uwagę. A co mu będzie żałować! Niech patrzy sobie, jej nic od tego nie ubędzie.

Krajobrazy przesuwały się powoli za oknem. Jesień. Na całego już jesień. Klara odrzuciła do tyłu głowę. Właściwie nie wiedziała, co ją tak rozmarzyło, ale zrobiło jej się tak jakoś dobrze.

Nagle zorientowała się, że stanęli. Gdy otworzyła oczy, napotkała wpatrzony w nią wzrok Teofila. Oczka świeciły mu się pożądliwie.

- Pragnę cię - krzyknął Teofil.
- Co?! - skrzywiła się Klara.

- Cały czas jechałem za wami, od samego przyjęcia. Widziałem wszystko! Nawet jak zatrzymywałaś samochody! Ale w końcu przemożem się!! Nie wiesz, ile kosztowało mnie zatrzymanie się przed tobą!! Rozpalaś we mnie wszystko!! Do czerwoności!!

Jej spojrzenie było niczym zimny prysznic.

- Dobrze wiesz, o czym mówię, ty zwodnicza kokietko! - zawołał niepewnie Teofil. Ale jej oczy mówiły, że nie wie. Knotowski zamrugał nerwowo.

- Pożadam cię - krzyknął z rozpaczą w głosie i rzucił się na Klarę, niczym wygłodniałe zwierzę.

- Nie!! - zawołała Klara, bezwolnie opadając na twarde, przednie drzwi samochodu.

- Aaaaauu!! - zawył Teofil. Klara bowiem mimowolnie zasłoniła się rękami przed jego atakiem i jej pomalowane krwistoczerwonym lakierem szpony wbiły się w policzek napalonego dziennikarza.

- Aaaaa! - darł się Teofil, poniechawszy ponętnej zdobyczy. Ból zwyciężył chuć. - Nie musisz zaraz drapać! Dzikuska!!

Klara błyskawicznie otworzyła drzwiczki i wysiadła.

- Zwierzę!! - zawołała.

- Prymitywna kokota!! - krzyknął za nią Teofil. - Oddawaj mój płaszcz!!

- O nie!! - odkrzyknęła mu kategorycznym tonem Klara. - Płaszcz konfiskuję za poniesione straty moralne! Bądź co bądź, ale to była próba gwałtu!!

- Sama tego chciała!! To ty mnie sprowokowałaś!! - denerwował się piskliwie Teofil, również wysiadając z samochodu. - Sama zaczepiłaś mnie na biznes-party!! Pamiętasz! Pamiętasz!

- Chciałam jedynie porozmawiać! Żle odczytałaś wysyłane przeze mnie sygnały! - krzyknęła Klara, nie odwracając się.

„Psychologia! Studiuję psychologię!” - przemknęło przez głowę Teofila.

- Ździra! - krzyknął na cały głos, gdyż Klara była już w znacznej odległości od niego.

- Wypierdek!

- Lafirynda, dziwka,... kurwaaa!! - krzyczał Teofil, kurczowo trzymając się swego malucha i nerwowo tupiąc nogą.

Klara mocniej otuliła się długim, męskim prochowcem - zrobiło się jakoś zimno - i poszła dalej.

„Tylko spokojnie” - pomyślała sobie. - „Nie zniżaj się do jego poziomu”.

Teofil widocznie się już zmęczył, albo skończyła mu się inwencja i wykrzyczał już wszystkie znane mu obraźliwe określenia kobiet, bo wsiadł do swojego malucha i, obficie dymiąc rurą wydechową, ruszył w dalszą drogę. Klara mogła teraz zawrócić i pójść w tym samym kierunku. Otarła łzę ponizenia, jaka zakręciła

się jej w oku, a na którą mogła sobie pozwolić dopiero teraz, po czym prężnym krokiem ruszyła w stronę Wypierdek Lesistych. I nie miała już teraz ochoty łapać okazji!

Rozdział IV - Pomiędzy Prawdą a Szatanem

Było już późne popołudnie, gdy Klara dotarła do skraju ogromnego parku krajobrazowo-rekreacyjnego, który swym prawym odgałęzieniem przylegał niemal do jej bloku. W czasie swej pieszej wędrówki złamała obcas. Złamała więc i drugi! Niczym na reklamie groszków „Mniam-mniam. Chaps”! A mówią, że reklamy są ogłupiające! Ponieważ nie chciała jeszcze wracać do domu, skręciła w szeroką, wylaną asfaltem drogę, wiodącą w głąb parku.

Co za niesmaczna przygoda z tym Teofilem. Małe to takie, niepozorne, a jakie drapieżne! Stanowczo to było niesmaczne. Kogucik! Że też zawsze kochali się w niej nie ci faceci, którzy powinni byli się w niej kochać! U mężczyzn zawsze cenila polot i fantazję. W szkole też kochała się w pewnym rockowym muzyku, na zabój. Oczywiście całkowite przeciwieństwo Janusza! Grał w kapeli MixerDeath. Ponoć byli beznadziejni, zresztą Klara i tak nie wiedziała zupełnie, o co im chodziło, ale twardo była ich zagorzałą fanką. Ach, cóż to była za szalona miłość! Nawet jego krzywe nogi i stanowczo za długi nos dodawały mu tylko uroku. Każda jego wada była dla niej kolejną jego zaletą... Oczywiście nigdy nie poszła na żaden ich koncert (jeszcze by sobie pomyślał Bóg wie co), nigdy też nie powiedziała mu jak bardzo go kocha, bo w ogóle z nim nigdy nie rozmawiała, a on, oczywiście, był zbyt głupi, aby się samemu czegokolwiek domyśleć! Poderwała wprawdzie jego najlepszego przyjaciela, ten zakochał się w niej bez pamięci, ale to przecież nie był ten, o którego jej chodziło!! I tak już jakoś zostało. Wokół tylu superowych łebków, a ona z takim Januszem...

Miała ochotę na dziki, orgiastyczny seks. Ostatnio coraz częściej rozładowywała swe napięcie emocjonalne wzmogłą potrzebą aktywności płciowej. Oczywiście Janusz nie wchodził teraz w grę, była na niego zbyt wściekła, zresztą i tak nigdy go nie ma, gdy jest potrzebny. A te żalose, tak zwane upojne noce! Upojnymi wydawać się chyba mogły tylko takim miśkowatym Januszom! Albo anemicznym ascetom, żyjącym dotąd w rygorystycznym celibacie!

Klara czuła pelzające po jej ciele rozkoszne dreszcze. Zamknęła oczy i aby nieco się opanować pochyliła głowę do przodu.

- Co sądzisz o Królestwie Bożym?

Klara zdębiała. Przed nią stał przyszczaty młodzieniec z postrzępioną strzechą krótkich, nieumytych włosów, mdłym uśmiechem przyśólconych zębów i plikiem jakichś ulotek w rękę.

- Nie sądzisz, że świat dąży ku zagładzie? - pytał dalej młodzieniec. - Zastanawiałaś się, dlaczego istnieje zło na świecie?

Klara spojrzała mętnie w jego zaropiałe oczy. Młodzieniec podskoczył z radości:

- Przeczytaj to koniecznie!! T O pozwoli poznać ci P r a d ę !!!

„Może i dałabym się zbawić, gdybyś był choć odrobinę przystojniejszy. W końcu nie takie rzeczy robi zakochana dziewczyna dla swojego faceta!” - pomyślała Klara, tłumiąc swe rozwydrzone popędy biologiczne. Choć właściwie obleśność młodzieńca sama, automatycznie, je stłumiła.

- Stoimy w obliczu całkowitego kryzysu wartości duchowych - powiedziała jakaś wyjątkowo brzydka dziewczyna, która pojawiła się nagle nie wiadomo skąd. Miała krzywo podcięte włosy i małe, źle patrzące oczka. - Co sądzisz o zalewającej ten świat przemocy? Godzina Sądu wybiła!

- Ale jest jeszcze nadzieja! - zawołała jakaś starsza pani, potrząsając plikiem kolorowych ulotek. - Nadzieja w Bogu! Przemysł to moje dziecko!

- Szerzący się demoniczny n i h i l i z m jest zwiastunem nieuchronnego końca świata! - grzmiał jakiś leciwy staruszek. Ludzi dookoła Klary gromadziło się coraz więcej. Wszyscy potrząsali stosami ulotek i krzyczeli jeden przez drugiego o pojawiających się co chwila znakach rychłej zagłady. Klara powoli czuła, że brakuje jej powietrza. Tłum był jednak napastliwy, gęstniał i okrażał ją coraz bardziej. „O Boże, ratunku!” - pomyślała Klara.

- Bóg cię kocha!! - krzyknęła bardzo brzydka dziewczyna o złych oczach.

- O tak!! - zawtórowali jej pozostali.

Klara bezwiednie przyjmowała wciskane jej ulotki.

- Na pewno przeczytam, tak, dziękuję, zastanowię się - odpowiadała mechanicznie. Próbowwała być po prostu miła, choć czuła, że zaraz się udusi w tym ścisku.

- Ulotki rozdajemy za darmo. Prosimy jednak o d a t e k, co łaska, na fundusz rozwoju naszego kościoła - powiedziała brzydka dziewczyna.

- Datek! Datek, co łaska! - zaczęli skandować pozostali i setka rąk wyciągnęła się z pazerną chciwością.

- A idźcie w cholere! - wrzasnęła nagle Klara. Miała już dość tej całej hecy i chyba się wkurzyła. Łokciami roztrącała natrętów i z zawziętą stanowczością ruszyła naprzód.

- Pamiętaj o ogniu piekielnym! - wydarła się za nią brzydka dziewczyna o kaprawych oczkach. - Zwłaszcza t a k i e jak t y powinny o nim pamiętać!! Koniec świata dopadnie i ciebie!! Bó j się S ą d u B o ż e g o !!! - zaczęła dostawać histerycznych spazmów. Pozostali trwali w głuchym milczeniu niczym średniowieczny sąd kapturowy.

- Czarowniiiiica!! Bądź przekłetaaaaa!! - darła się wciąż w niebogłose dziewczyna z krzywo podciętymi włosami. - Takich jak ty miejsce jest pod prężeniem!! O taaak!!! AAAAA!!! - nagle rażona atakiem apopleksji zamilkła i ciężko zwała się na ziemię. W myśl jednak zasady, że złego diabli nie biorą, zaraz podniosła się.

- Wiedźma!! - krzyknęła jeszcze, ale już lekko schrypiałym głosem.

Klara wzruszyła ramionami i poszła dalej asfaltową ścieżką. Zrobiło jej się jednak trochę nieprzyjemnie, to już dziś druga osoba, która na niej wyżywała się za swoje kompleksy. Trudno tak do wszystkiego podchodzić z istic filozoficznym dystansem. Ale liście miały tak piękną złocistą barwę, a powietrze było tak jesiennie rześkie! Asfalt skończył się, zwirowa ścieżka zwięzła się znacznie. Znak, iż weszła w mniej uczęszczaną część parku. Alejki stały się bardziej kręte. Kolorowe liście szeleściły pod nogami. Nie, Klara na pewno nie chciała jeszcze iść do domu. Było zbyt pięknie.

I gdy tak szła bez celu, jej uwagę zwrócił młody blondyn, samotnie siedzący na ławce i popijający coś z butelki. Miał bardzo długie, zmierzwiłone włosy, swobodnie opadające mu na ramiona i plecy. Fiołkowe, rozmarzone oczy patrzyły przed siebie ze smutkiem i z urzekającą łagodnością. Chłopak miał na sobie stare, bardzo sprane dzinsy, a Klara poczuła, że nie może tak zupełnie obojętnie przejść obok niego. Zawsze miała słabość do kloszardów, a ten był nadzwyczaj przystojnym kloszardem. Ogólny pozór zaniedbania i całkowitej swobody w jego wyglądzie i ubiorze dodawał mu jeszcze, tak atrakcyjnego w oczach Klary, pierwiastka niebanalnej oryginalności.

Zawirowały w powietrzu porwane wiatrem liście, a Klara poczuła, że jest dziś gotowa na wszystko.

- Masz papierosa?

- Nie - odpowiedział blondyn.

- Ale i tak się przysiądę, można?

Chłopak podetknął jej pod nos butelkę. Klara wzięła ją do ust. Czerwona, mdła ciecz miała odrażający zapach i jeszcze ohydniejszy smak. Klarze zrobiło się niedobrze, ale dzielnie przełknęła ten wykwintny trunek.

- A, popijamy sobie, co!? - zawołał nagle jakiś człowiek w policyjnym mundurze. Wyrósł przed nimi jak spod ziemi. Zaraz za nim pojawił się jego kolega. - To miejsce publiczne!! Będzie mandacik!!

- Ależ tu nikogo więcej nie ma! - zawołała Klara. Spojrzała na blondyna, ale ten zupełnie na nic nie zwracał uwagi.

- A czy to zmienia fakt, że jest to miejsce publiczne? - zapytał mundurowy i uśmiech zadowolenia z tak wybornego konceptu rozjaśnił mu twarz. - A gdyby tu były dzieci? Niewinne, wesoło bawiące się dzieci! I tak deprawujący je przykład!! Dokumenty!!

- Nie mam - powiedziała Klara. Nigdy nie brała dokumentów, gdy jechała gdzieś z Januszem.

Mundurowy zmarszczył się groźnie. Klara spuściła oczy.

- Nie mam - powtórzyła, rozkładając bezradnie ręce.

- No dobrze, nazwisko!?! - spytał drugi z mundurowych, wyjmując notes i długopis.

- Rozchocińska.

- Imię!!!

- Na pomoc!!! - rozległ się z pobliskich krzaków rozpaczliwy kobiecey głos.

- Imię!? - powtórzył swoje pytanie mundurowy.

- Ratuuuunku!! - wołał dalej głos z krzaków.

- Ależ tam ktoś wzywa pomocy! - zawołała Klara.

- Poczekaj - odrzekł pierwszy mundurowy. - Imię!?

- Klara.

Z krzaków doleciał stłumiony łomot i cichy, zduszony jęk. Krzyk ustał.

- Adres!!! - pytał dalej drugi mundurowy.

Z krzaków wybiegł jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu.

- Łapcie go! - krzyknęła Klara.

- A ty uciekniesz!! O nie! - zaśmiał się pierwszy mundurowy i przybrał wyraz twarzy świadczący o tym, że on na takie numery się nie nabierze. - To nie ze mną takie sztuczki.

- Ten facet grasuje tu od roku - rzekł drugi mundurowy. Z krzaków wystawała nieruchoma, kobieca noga. Mężczyzna w czarnym ubraniu oddalał się coraz bardziej. - To na dziś już spokój. On zawsze tylko jedną dziennie.

- Przecież mogliście go złapać! - powiedziała Klara.

- Kobieto! - rzekł pierwszy mundurowy. - Nikt go dotąd jeszcze nie złapał!! A ty sądzisz, że nam by się udało!?! Adres!?!

- Świętego Anatola 3/92.

- Dobra - rzekł pierwszy mundurowy. - Na razie to tylko upomnienie, ale żeby to było ostatni raz - mundurowy pogroził Klarze palcem. - Taka ładna kobieta, a pije. Fe, brzydko!

Drugi mundurowy przytaknął twierdząco.

- Dokończyć to szybko i żeby tego już nie było. Drugim razem nie będziemy już tacy pobłażliwi - rzekł i obaj poszli w stronę krzaków, z których wystawała kobieca noga.

- Paskudnie ją załatwił - powiedział pierwszy.

- Miała kobitka pecha - przytaknął drugi.

- Ale w sumie to wyrobił się chłopak, nie! - kontynuował pierwszy, przypatrując się uważnie zwłokom zarzniętej kobiety. - Teraz to już prawie profesjonalna robota. A takie to było przed rokiem nieudolne.

- Co chcesz - rzekł drugi. - Jak to mówią: trening czyni mistrza!

- Święte słowa! Trafnie to ująłeś.

- Zostawicie tu tak tego trupa? - zawołała za nimi Klara, widząc, że zamierzają odejść.

- My tylko pilnujemy porządku publicznego i tępimy wszelkie przejawy jego zakłócania. Trupy zostawiamy służbie komunalnej.

I poszli. Klara usłyszała jeszcze tylko, jak któryś z nich mówił do drugiego: - Ty, patrz co za czasy! Jak to już nic pozorom ufać nie można! Taka lala, a alkoholiczka! I z ćpunami się zadaje!!

- Stracona już kobieta, ale zawsze nieszczęśliwa.

Klara spojrzała zezem na butelkę, którą trzymała w ręce. A co tam, wzięła porządnego, głębokiego łyka. Za drugim razem płyn był jakby mniej wstrętny.

- Ty, zostaw coś dla mnie - rzekł z wyraźnym niezadowoleniem całkowicie dotąd obojętny blondyn i zabrał jej butelkę. Kilka łyków chyba go jednak udobruchało.

- Ty, nie podałaś im prawdziwego adresu i nazwiska, nie? - zapytał po chwili milczenia.

- Prawdziwe!! A jakie miałam podać?

Blondyn wydał lekko wargi i odwrócił głowę.

- Właściwie to miałaś szczęście, że trafiłaś na mnie, a nie na tamtego - rzekł sucho. Klara spojrzała na wciąż wystającą z krzaków, nieruchomą, kobiecą nogę. Blondyn wziął kolejnego łyka. Klara z pewnym podziwem patrzyła, jak wstrętna w smaku, czerwona ciecz gwałtownie znika z butelki, ginąc w gardle przystojnego, młodego człowieka. Bo mimo wszystko był cholernie przystojny! Niestety!!!...

Alkohol wciągał też niezłe...!!

- Pełno tu świrów - powiedział blondyn i spojrzał na nią swymi nieco mętnymi, ale wciąż fiołkowymi oczami.

- Zwykle nie zaczepiam mężczyzn i nie włóczę się sama po ulicach... - zaczęła Klara.

- Ja na przykład jestem s a t a n i s t ą !!! - powiedział blondyn i zaśmiał się demonicznie.

- Kim? - zdziwiła się Klara. - Szatanistą?!

- Szataniści to rozpierdalają groby! Satanista to ktoś, kto czuje to głębiej!! - rzekł powoli blondyn, zdegustowany reakcją Klary. - Ja jestem s a t a n i s t ą !! Ale prawdziwy satanista nigdy nie przyzna się, że jest satanistą. Nigdy ci tego nie powie.

- Więc czemu mi powiedziałeś.

- Bo ty jesteś niegroźna. Ale pełno tu pozeranckich palantów, którzy czekają tylko na taką informację - blondyn zamyślił się.

- Co robi satanista?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Obiecałem sobie, że nie będę o P a n u rozmawiał po pijaku. To dla N i e g o obraza! Tak więc rzadko mogę o tym rozmawiać, bo zwykle piję. Właściwie w ogóle o tym nie rozmawiam, bo zawsze jestem pijany... Ale nie jestem alkoholikiem! Choć chodzę na kursy AA...

- AA?

- Anonimowych Alkoholików, ale to gówno daje! - powiedział ze zniecierpliwieniem blondyn i wziął głębokiego łyka.

- Aha - powiedziała Klara.

- W ogóle to ci muszę powiedzieć, że fajna dupa z ciebie. I pogadać można i jest na co popatrzeć. I mam ochotę cię przeruchać. Ale takie jak ty nie patrzą nawet na takich jak ja i słusznie robią.

Klara zrozumiała, że spotkała o to istotę o całkowicie zanizonej samoocenie, w dodatku chyba równie, a może i jeszcze bardziej nieszczęśliwą niż ona dzisiaj. A on się jej tak podobał! I nie ważne, że był chyba trochę podпиты. O nie, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ją rzeczywiście „przeruchał”. Tu. Teraz. Natychmiast. Może dlatego ów młodzian ocenia się tak nisko, że nikt nigdy dotąd nie dał mu szansy, nie okazał mu życzliwości, odrobiny ciepła, czy wiary w niego. Patologiczna rodzina, koleżkowie z marginesu, wzgarda społeczeństwa...

A jeśli przyjemność można połączyć z tak szczytnym zadaniem, obowiązkiem, wręcz humanitarnym imperatywem moralnym, co przecież zdarza się tak rzadko, to jakże można nie podjąć takiego wyzwania...?

Klara wyrwała młodzieńcowi butelkę od ust i rzuciła się ku niemu, wystawiając do pocałunku swe malinowe wargi.

- Kobieto! - wrzasnął młodzieniec, podrywając się za przewracającą się butelką. - Co ty robisz!! Tyle trunku zmarnować!! Diabli cię nadali. Mogłaś stłuc butelkę!

- Butelecza będzie?! - zawołał nagle jakiś łysy stwór, który wyłonił się z krzaków. Nieco cuchnęło od niego, ale po bliższym przyjrzeniu mu się wyglądał nawet na chyba sympatyczne stworzenie.

- Jeszcze pełna - rzekł blondyn, z dziecinną radością patrząc na swoją butelkę.

Cuchnący człowiek, bo to jednak był człowiek, zakręcił się niezręcznie.

- Widzę - rzekł zmieszany. - Ja tak tylko, wiecie, konkurencja nie śpi.

Klara rozejrzała się niepewnie dookoła. Rzeczywiście, dostrzegła teraz w pobliżu kilka zszarzałych postaci z plastikowymi torbami. Postacie te uśmiechały się do niej nieśmiało bezzębnymi szczękami.

- No i te mendy mundurowe łażą i pilnują. Straszą ludzi i nam zarobek zabierają. Tedy pilnuję swego. Takie czasy.

Blondyn znów się wyłączył.

- Ja tak cichutko poczekam tu - mówił dalej ów człowiek. - Co by mi tej buteleczki już nikt inny nie sprzątnął. Ja nie wadzę przecież...

Klara próbowała być dzielna.

- Spisali mnie - powiedziała rozgoryczona.

Łysy dziad roześmiał się dobrodusznie:

- A tam, nic to. Panienska się martwi, bo to pewnie pierwszy raz tu, co? Bo jej kumpla to ja znam. Niech tam pije, a ja to i może kawał jaki powiem, bo to teraz rzadko, przez te mendy pijących mało. A znam ja kawałów trochę. Taki zeszytek mam i seprzegładne zawsze. O, ten jak to z kryminału mnie wypuścili, to znaczy nie mnie, tak się mówi: z kryminału, a każdy tam wie swoje, nie. No więc jak z tego kryminału mnie wypuścili, znacie ten?

- Nie znam - powiedziała Klara, z niepokojem zauważając, że nieznajomy coraz bardziej się do niej przybliżył. Odsunąć się jednak byłoby dość niegrzecznie.

- A buteleczki nie będzie - zaśmiał się blondyn i stłukł butelkę o krawężnik.

- I trzeba to było zrobić? Mieściez sobie przyjemność, ale dajcie też zarobić innym - rzekł cuchnący człowiek ze smutkiem.

- Jestem satanistą i mam w dupie miłosierdzie - powiedział blondyn, ale zaraz jakby zrobiło mu się przykro, więc dodał: - W tamte krzaki rzuciłem dwie poprzednie. Jak się nie stłukły, leżą tam jeszcze.

Człowiek z radością rzucił się we wskazane krzaki. Rzeczywiście leżały tam dwie piękne, zielone butelki. Były całusieńkie.

- To trzymajcie się - rzekł uszczęśliwiony człowiek, szybko chowając puste butelki do foliowej torby, i odszedł.

- Idę skołować na następne. Czuję, że dopiero się rozkręcą - powiedział długowłosy blondyn. - Może mendy będą miały papierosa? - I poszedł.

Klara siedziała sama na ławce, otulona płaszczem Teofila, i nic już nie rozumiała z tego wszystkiego. Wiatr zrywał liście z drzew. Liście były złote i czerwone. Ale zdarzały się też brunatne. Nagle Klara zdała sobie sprawę, że oto przed chwilą balansowała na bardzo niebezpiecznej granicy pomiędzy *M r o k i e m a J a s n o ś c i ą*. Bóg i Szatan chcieli zwerbować ją do swoich szeregów. Cóż, zwyczajny mistycyzm dnia powszedniego. Czy to nie raz stajemy w sytuacji wyboru pomiędzy dobrem a złem? Dziś może po prostu zdarzyło się to w bardziej jednoznacznej i wyraźnej formie. Klara zadumała się przez chwilę nad tą wielką zagadką bytu ludzkiego.

- Figa! Nie dostał mnie ani jeden, ani drugi! - I dumnie wyprostowawszy się ta niezależna dziewczyna wstała z ławki i ruszyła dalej w pachnący jesienią, ciemniejszy park.

Rozdział V - Rozdział, na który z pewnością czekaliście

Wieczorny zmierzch powoli zacierał kontury drzew i zarośli. Niebo ciemniało, a jesienny mrok opieszale obejmował ziemię w swe władanie. Klara szła przez park nieprzytomna i zamyślona. Wszystko wokół wyglądało teraz zupełnie inaczej. Park skurczył się i stał się jakby sympatyczniejszy, bardziej życzliwy. Klara szła bierna i bezwolna. Ciepły wiatr pchał ją do przodu i ukazywał drogę. Na niebo wszedł już kulisty księżyc. W cieniu drzew ciemność była niemal zupełna. Dziwny nastrój tego wieczoru omotał Klarę bez reszty. Intensywny zapach opadłych liści zaświdrował w nozdrzach. Klara zawyla z rozkoszy i chwyciwszy się pobliskiej latarni, okręciła się dookoła niej parę razy. Czując chłód metalu, starała się ugasić ogień, który zapłonął w jej duszy. Ale żar ten rozgrzał metalową latarnię, gdyż już nic nie było w stanie go ostudzić.

Zmierzwione loki, uwolnione z jarzma wsuwek i spinek, opadły na jej piękne ramiona. Biegła. W rozpiętym płaszczu Teofila, z rozpuszczonymi włosami przemykała się w cieniu drzew, lawirowała pomiędzy słupami prosto stojących latarni. Był to wieczór niezwykły i Klara czuła to, czuła, że stanie się coś niezwykłego. Tajemniczy park gęstniał w przednocnym granacie nieba, pełen szumów i dziwnych szelestów. Może i bałaby się, gdyby nie była to właśnie taka niesamowita, wietrzna pora. W oddali zamajaczyła sylwetka człowieka. Mężczyzna? Kobieta? Klara przywarła plecami do pobliskiego drzewa. Przed oczami miała ciemność, pierś falowała jej rytmicznie, a pod palcami czuła szorstką korę.

- AAAch! - wrzasnęła Klara. Przed nią wyłonił się z mroków wysoki, długowłosy mężczyzna.

- Ach to ty!? - powiedziała, rozpoznając w nim blondyna.

- Ja - w ciemności zabłysły jego oczy. Zrobiło się zupełnie cicho. Kora pod palcami Klary była bardzo szorstka.

- Nie jestem już satanistą - powiedział blondyn. - Zerwałem z tym gównem. To niebezpieczne i niszczące człowieka praktyki. Zresztą nie piję już też. Całe dwie godziny! Czy nadal chcesz mi się oddać?

Klara spojrzała na niego tajemniczo. Wtem w całym parku rozbłysły elektryczne latarnie. Szklane, okrągłe lampy odsunęły mrok na bok.

- Nie mam pracy, nie mam przyszłości - zawołał piękny kloszard.

- Mamy więc tylko siebie - szepnęła Klara. Chwyciła jego mocną, równie szorstką jak kora dłoń i zaczęła biec, ot tak, przed siebie.

Biegli szaro oświetlonymi alejkami pustego, jesiennego parku.

- Wcale nie jestem takim gnojkiem na jakiego wyglądam! - zawołał blondyn jakoś rozpaczliwie.

Żwirowa ścieżka skręcała gwałtownie w bok. Zarzuciło nimi delikatnie na zakręcie...

- Ach! - zawołała Klara, gdy miękko opadli na zawałaną liśćmi murawę. Wciągnął ją gwałtownie pod siebie.

Klara krzyknęła krótko, cicho i namiętnie. Zębami chwyciła jego włosy. Z drzew, w blasku latarni, bezszelestnie opadały liście. Zza czarnych obłoków dyskretnie migotały gwiazdy. Te kilka następnych chwil na zawsze utkwilo w pamięci Klary...

Tu rozdział się urywa (autor nie chce krępować wyobraźni czytelnika).

Rozdział VI - Zakończenie

Klara siedziała rozanielona na trawniku. Wyplątywała zwiędłe liście ze swoich włosów i podziwiała rozgwieżdżone niebo.

- Do diaska! - zawołał nagle blondyn. - Moja kobieta dziś przyjeżdża. Miałem po nią wyjść na dworzec! Dziś jest środa?

- Sobota - powiedziała Klara.

- Tak czy siak muszę zobaczyć, co się dzieje w domu. Bywaj! Przedzwonię w tygodniu.

- Przecież nie masz mojego telefonu - zaśmiała się Klara.

- Tak, tak na pewno zadzwonię - i młodzieniec zniknął jej z oczu w ciemnej alejce. Pozostało po nim tylko wspomnienie. Bardzo miłe wspomnienie. No może także takie niewielkie rozczarowanie. Może malutkie rozgoryczenie...

.....
Klara wróciła do domu dobrze po dwudziestej drugiej. We włosach miała wilgotny zapach jesiennego parku i jeszcze parę zwiędłych liści.

- Gdzieś ty była!?! - powitała ją od progu matka. - Janusz dzwonił chyba ze cztery razy! Mówił, że uciekłaś mu z samochodu, był zrozpaczony! Jak mogłaś mu to zrobić!? To taki poczciwy chłopak (A więc jednak dzwonił, jednak zależało mu na niej). A co myśmy z ojcem przeżyli! Na policję nawet dzwoniliśmy! Ale powiedzieli, że zaginionymi zajmuje się wydział główny na Rolniczej, Ale tam mają popsuty telefon, więc nie mogli nam pomóc. Ojciec chciał cię szukać nawet... Ale udało mi się go uspić, wiesz, jak mu nerwy szkodzą na serce, śpi jak dziecko. Jak aniołek. Może trochę podstarzały aniołek... Tylko ja cały dzień się denerwuję i czekam! Jakie to męczące...

- Ile razy Janusz dzwonił?

- Mówiłam już! Ale w tym domu nikt mnie nigdy nie słucha. No bo kto by tam słuchał własnej matki...

- Więc ile razy dzwonił?

- Cztery. Strasznie był zdenerwowany.

Idiota. Ale to miło z jego strony, że się martwi. Nie, nie będzie do niego dzwonić. Niech ma nauczkę!

- Położę się już, Klaro. Co za dzień, tyle nerwów - przypatrzyła się krytycznie córce. Malujesz się jak dziwka! Kiedyś ktoś cię zgwałci i będziesz miała za swoje!

- Ach, mamó! Żebyś wiedziała, jak dziś było cudo...
- Będiesz szła do łazienki?
- Nie, jestem zbyt zmęczona...
- To jak będziesz szła, zgaś światło w przedpokoju.
- Dobrze mamó. Dobranoc!

Ach, jak miło zapaść się w miękką pościel własnego łóżka. Była zbyt zmęczona, aby brać kąpiel. Jutro rano weźmie prysznic. Co za zwariowany dzień! Najgorsze, że jej poszło oczko w pończochach, nowa para i do wyrzucenia! C'est la vie!

Kiedy brat Klary wrócił nad ranem do domu, zobaczył swoją siostrę śpiącą w ubraniu na swoim starannie zaścielonym łóżku.

- Zabalowała siostrunia, a teraz śpi pijana jak biała. Che! Che! - zarechotał rozrywkowy małolat. Zamknął drzwi do sypialni Klary i na palcach, aby nie zbudzić całej rodziny, wślizgnął się do swego pokoju.

Gdynia 1996.11.09.

JESIENNA PRZYGODA

Kiedy Konstanty obudził się tego ranka, zrozumiał, że zwariował.

Był pogodny, jesienny dzień. Świeciło słońce, z drzew opadały liście, a ludzie jak zwykle chodzili po ulicach. Ale Konstanty wiedział, że coś się zmieniło. Tym czymś był jego umysł. Konstanty właściwie spodziewał się tego. Jeśli cierpi się na chroniczną niechęć do życia, można albo popełnić samobójstwo, albo zwariować. A że Konstanty wyleczył się już ze swych maniackalnych, autodestrukcyjnych skłonności, pozostało mu jedynie to drugie rozwiązanie. Nie czuł już pustki jak kiedyś. Wprost przeciwnie! Czuł chorobliwe ożywienie oraz całkowite wypełnienie swej podmiotowości lepką i drażniącą, mocno zagęszczoną esencją bytu.

Bardzo szybko przemykały jakieś strzępki myśli. Wspomnienia? Przeszłość . . . ?

Mózg palił niczym rozżarzone żelazo, a czaszka pulsowała nerwowo, jakby się chciała rozpaść. Czuł się równie bezsilny jak wtedy, gdy walił pięściami w drzwi szafki szkolnej, w której ciemnym wnętrzu zamknęli go koledzy, plując na niego poprzez okrągłe otwory wodą.

Skąd to wspomnienie?

Jak zawsze, gdy czuł, że mieszkanie zaczyna przygniatać go swoimi ścianami, szybko się ubrał i wszedł na ulicę. Owiąło go chłodne powietrze. Może jednak nie zwariował ?

Niebo było błękitne, wysokie i odległe, a słońce zimne, smutne i jesiennie. Odgłos własnych szybkich kroków zlał się w uszach Konstantego z nierównymi pulsacjami zwojów mózgowych. Umysłowa gorączka znów go dopadła.

Ulica była ta sama co zawsze, bloki i drzewa również. Ale Konstanty wiedział już na pewno, że on nie jest ten sam.

Wsączający się w jego gałki oczne obraz nieco falował . . .

- No i dobrze - powiedział do siebie Konstanty. Miał ochotę walić w twarz idących z naprzeciwka przechodniów, wylupić sobie oczy, lub rozerwać skórę na klatce piersiowej i wyzwolić wreszcie stłoczone wewnątrz ciała organy. Ale nie zrobił nic. Szedł dalej tą samą co zwykle, choć coraz mocniej falującą ulicą. Może trochę bardziej nerwowym krokiem, ale jak gdyby nigdy nic. Po co mają wszyscy wiedzieć o tym, że zwariował. Czasem trzeba mieć swoje własne, małe tajemnice. Nawet jeśli krzyczą i chcą wydostać się na wolność, trzeba być głuchym na ich prośby. Tak jest zabawniej. Zabawniej ? . . . Śmiech za plecami. Z niego? . . .

Przeszłość.

Znowu przeszłość.

Ale przecież już nie ma przeszłości.

Jest teraz nowy człowiek. Konstanty więc nie obejrzał się za siebie. Zacisnął zęby i wbił sobie paznokcie w skórę.

Zarejestrował pogardliwy wzrok jakiegoś tłustego babska. Miał ochotę plunąć mu w ten zwierzęcy, otłuszczony ryj.

Obejrzał się za siebie. Ale nikt się już nie śmiał.

W lesie nie było ludzi. Mózg obijał się o wnętrze czaszki. Chrzęściły pod nogami zwiędłe liście.

- Co ja teraz zrobię? - zapytał nagle swego rozpalonego umysłu Konstanty. Bo właściwie to teraz wcale nie chciało mu się umierać. Wewnętrzna energia ciskała jego osobowością po kantach cielesności - dziko, bezmyślnie i bez celu, ale przeszłość ze swoimi lękami, obawami i dążeniem ku śmierci nie istniała już. Konstanty czuł teraz jedynie żywiołowy chaos bezcelowych i drażniących podniet - chaos uciążliwy i nieznosny, ale jak najbardziej odległy dokuczliwemu poczuciu strachu i pragnieniu śmierci.

Konstanty potknął się o przysypany liśćmi korzeń. Świat zadrżał w posadach i dziwnie uciekł do góry.

Konstanty zatrzymał się.

Jutro pójdzie do pracy. Trzeba teraz uważnie przyjrzeć się światu. Bo przecież nic nie jest już takie samo!

Gdynia, 12.10.1996

OSTATNIA JESIEŃ PEWNEJ BRZYDULI - czyli jesienny harlequin

- Kochasz mnie? - spytała kiedy było już po wszystkim. Zeszła z niego. Uczuł ulgę, gdy jej ciało przestało go przygniatać swym ciężarem. Podrapany policzek piekł i szczypał. Podniósł głowę i jego wzrok natrafił na jej ogromne, zielone oczy, wpatrujące się w niego z uwielbieniem. Oczy te leżały blisko siebie, głęboko osadzone olbrzymi, rozgraniczone pokrytym piegami, zwalistym, ogromnym nosem, który ciężko zwiślał nad jej koralowymi wargami.

- Kocham.

Spojrzała z lubością na jego spoconą twarz. Wyglądał na człowieka o nieco nadwątłych siłach fizycznych. Oddychał ciężko i tępo patrzył w jasne, piegowate oblicze nachylonej nad nim kobiety. Ona zdawała się zaś rozkwitać. Ze zdwojoną energią zerwała się z łóżka i jęła przyoblekać swe ciało w odzienie, leżące niedbale na podłodze. Odrzuciła do tyłu skołtunione, rude włosy. Smagnęły jej plecy niczym bicze i okryły je płaszczem sięgającym do łopatek.

- Na mnie już czas.

- I pocałowała go, jakby pragnęła go tym pocałunkiem wessać całego do środka. Zamiar ten jednak nie powiódł się. On pozostał nadal na łóżku, beznamiętnie wpatrując się w okno. Padał deszcz, szary, zimny, jesienny deszcz. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie mógł się ruszyć. Czuł się rozbity, dosłownie jakby leżał w kawałkach. Miał pełno siniaków, a nadmierna witalność partnerki nadwyrężyła także pewną intymną część jego ciała, co też wcale nie poprawiało mu samopoczucia. Pokój był duży i pusty. Było zimno. Na podłodze wałało się jego porozrzucane ubranie i zmięta pościel. Na łóżku, dużym i nieprzyjemnym, był tylko on i prześcieradło. Deszcz nadal padał.

* * * * *

Był wczesny ranek - przejmujący chłód, szron na matowej trawie, pusty park i resztki zeschniętych liści walające się pod jej nogami.

Była szczęśliwa. Miała go wreszcie. Był jej, tylko jej. Nie czuła zimna, za to czuła nadal jego chlerlawe ciało w swych mocnych ramionach. Był taki ciepły w dotyku. Zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Ogromny nos, cały czerwony od porannego chłodu, zdawał się teraz być jeszcze większy. Naciągnęła mocniej beret na głowę. Spod gęstych, rudych włosów wyglądały nie mniej czerwone od nosa uszy. Szła szybko, ukazując w szerokim uśmiechu swe nierówne zęby. Z pobliskiego drzewa, muskając ją, spadła rzadkawa, krystalicznie biała, wronia maź.

* * * * *

Miał przyjść za chwilę. Nędzny, zasrany gnojek. Ze złością kopnęła szafę, stojącą nie opodal. Nie czuła radości. Nienawidziła go. Ze złością waliła w drzwi szafy, wyjąc przy tym nieludzko. Jak on mógł! Łzy lecące po twarzy rozmazały tusz, nałożony grubą warstwą dookoła oczu. Otworzyła szafę i zaczęła wyrzucać z niej ubrania. Darła je i kopała bez litości. W końcu runęła na podłogę, chowając twarz w dłoniach. Zaniósła się głośnym szlochem. Jak ona go teraz nienawidziła! Tak, widziała, jak obłapiał tamtą wypindrzoną lafiryndę. Całował ją z taką namiętnością, z taką energią przyciskał tamtą do siebie! Obrus wraz z porcelanową cukiernicą wylądował na podłodze. Bo to zawsze ona musiała go przytulać, on zawsze był bierny! Widziała, jak wpijał się w szyję tamtej, jak rozpinał jej płaszcz, zrzucił szalik... Miała ochotę przebić ich oboje nożem, tam na miejscu, i patrzeć, czy w agonii całowałiby się równie namiętnie. Zbeczcęcili jej ulubioną ławkę, tę nad samą wodą. Już nigdy nie będzie mogła tam pójść, aby nie mieć przed oczami ich miłosnej ekstazy! Poczuli się taka bezradna, potem oszukana, nienawiść przyszła na końcu. Włosy zakryły jej twarz i spłynęły rudym potokiem na podłogę, wijąc się na jej ramionach i dywanie. Nigdy nie była ładna. Była ruda, gruba i piegowata. Przeżywali ją „Marchewa”. Nawet wtedy, gdy schudła, nikt tego nie zauważył. Bo „Marchewa” zawsze pozostanie „Marchewą”, choćby nawet stanęła na rżęsach. Ale i wtedy, gdy na nią pluli i zabierali jej zeszyty, nie czuła się tak upokorzona jak teraz. Ona mu zaufała!

Gdy jego klucz zazgrzytał w zamku, siedziała na podłodze - zapłakana i sponiewierana. On wszedł szczęśliwy i promienny, ubrany odświętnie, ze starannie przystrzyżonymi i gładko do tyłu zaczesanymi włosami. Zdjął kurtkę i szalik. Uśmiechał się, jakby nic nie rozumiał. Ale rozumiał, wiedział i wracał od tamtej - czuć było ten wstrętny jaśminowy zapach.

- Czy coś się stało? - zapytał z fałszywą słodyczą.

- Ty dobrze wiesz, co się stało! - krzyknęła i runęła na niego. Jeden kopniak w brzuch i schylił się z jękiem bóleści. Drugi, trzeci. Pięścią po chudych plecach. Następnie kolanem w krocze... Zwinął się z bólu, zachwiał na długich, cienkich nogach. Podstawiła mu swoją. Gdy się przewrócił, kopała bez litości. Ciało jego drgało jeszcze w konwulsjach, a drgając żałośnie i jednocześnie komicznie, wilo się po podłodze, gdy się opamiętała. To on - jej ukochany! Pogotowie, po które zadzwoniła, stwierdziło już jednak zgon. Spojrzała na jego rozciągnięte na podłodze, nieruchome ciało, na głowę wtuloną kurczowo w ramiona i wykrzywioną w grymasie bólu, martwą twarz. Miał zmięte ubranie i zwichrzoną w czasie walki fryzurę. Poczula jego marność i wzdrzygnęła się z obrzydzeniem. Gdy go wynosili czuła niemal ulgę.

* * * * *

Wiał silny wiatr i pędził po niebie zwały ciężkich, burogranatowych chmur. Mokre, bezlistne drzewa bezradnie wywijaly gałęziami. Wszystkie nagrobki były szare i śliskie. Jego nagrobek był taki sam. Obszligły i obleśny. Ale stały obie. Dwie wysokie, szczupłe, ciemne postacie na jasnym tle burego nieba. Wiatr zarzucał im włosy na twarz, szarpał za płaszcze, ale one stały nadal, nieruchome i zadumane. Nie mówiły nic, jak zawsze, gdy przychodziły tu na cmentarz. Spojrzała na tamtą. Była rzeczywiście bardzo ładna. Jasnożółte, rozwichrzone loki okalały jej owalną twarz o regularnych rysach. Była wysoka, zgrabna. Czarny, długi płaszcz wyszczuplał ją jeszcze bardziej. Nie, nie była zazdrosna. Od pewnego czasu wcale nie uważała już, że jest brzydka. Była po prostu osobą o oryginalnej, niebanalnej urodzie. A w ciemnym palcie z rozwianym płaszczem rudych włosów, których właśnie na złość wszystkim nigdy nie ufarbowała, nie prezentowała się wcale gorzej od tamtej szablonowej blond piękności. A nawet jeśli nie była to prawda, to i tak nie miało to znaczenia. Tamtą była ładna i co z tego? Też go nie ma i nigdy nie będzie miała! Ach, ten jego nieszczęsny atak serca...

Po medytacji na cmentarzu szły zwykle na kawę, czasem do którejś z nich na lampkę wina lub kieliszek szampana. Rozmawiały na całkowicie nieistotne tematy. Śmiały się razem wesoło i można powiedzieć, że nawet się lubiły. Coś było jednak nie w porządku i obie o tym doskonale wiedziały. Może miały o coś żal do siebie, który kładł się cieniem na ich wzajemnych stosunkach? Bo tak naprawdę to nienawidziły się. Była to czysta, szczera nienawiść, która jednak do niczego nie prowadziła. Odkładała się w nich, jak odkłada się brud na nie mytym ciele. A one wciąż były razem, uprzejme i miłe dla siebie, żyjąc cały czas wspomnieniami o nim.

* * * * *

Czuła się lekka. Czuła prawdziwą ulgę. To się musiało w końcu skończyć. Tamtą nie miała chyba nawet o to do niej żalu. Obie wiedziały, że to kiedyś nastąpi i że jest to nieuniknione. Była pierwsza. Po prostu pierwsza się zdecydowała. Pamiętała tamtą, gdy padła na podłogę. Nawet wtedy, gdy umierała, wijąc się z bólu, była piękna. Zawsze piękna, idealnie piękna. Posiadała coś, czego nie da się podrobić ani nauczyć - naturalny wdzięk. Jej idealnie zbudowane ciało wyprężyło się na dywanie. Niektórym pewne rzeczy dane są niejako od razu, w sposób naturalny, nie muszą uczyć się wszystkiego od zupełnego początku. Zgrabna, piękna, inteligentna - umierała teraz na jej oczach. Kieliszki były lśniące, lekko błękitnawe, wino bursztynowo-żółte. Było ciepło, miło i przytulnie. Pokój był mały, ściany pomalowano na ciepłe, sympatyczne kolory. Za oknem szalała wichura. Miotła się w bezsilnej złości. Nie mogła im nic zrobić, nie mogła im zniszczyć tego ciepła... Tamtą nie cierpiała długo. Trucizna była mocna. Trzeba to było przecież wreszcie skończyć. Nawet jeśli czegoś żał, to jednak przede wszystkim poczucie ogromnej ulgi. Cóż...

* * * * *

Patrzyła teraz na jego fotografię. Jego wydłużona, duża twarz wydawała się zawsze jeszcze większa w zestawieniu z jego wątym korpusem. Teraz patrzył na nią dumnie i wyniosłe. Choć zamknięty w fotografii, szydził z niej. Nierealny, niedostępny, nieosiągalny. Dotykała jego ust, oczu, ramion, włosów, ale za każdym razem czuła pod palcami tylko papier, śliski, wręcz obszligły papier. A on nadal taki dumny i wyniosły. Niewzruszony. Choć płakała, prosiła, szalała i wila się w bezsilnej żądzy po podłodze. Wszystko na nic. Ale kiedy porwała fotografię, kiedy ta dumna twarz rozpadła się na szereg kawałków - osobno oczy, usta, nos - cały jej dumny wyraz stał się śmieszny, nic nie wart i nic nie znaczący. A kiedy płomień zżerał kolejno te kawałki, były już całkowicie bezsilne. Skręcały się i czerniały od ognia. Nie mogły nic zrobić, ona była górą. Ale co z tego. Była teraz sama. Patrzyła na fotel, w którym lubił siadywać. Za oknem widać było drzewo, pod którym czekał na nią pewnego mroźnego wieczoru całe dwie godziny. A więc wciąż był obecny, tylko jeszcze bardziej nieosiągalny. Wciąż go pragnęła. Ze złości podarła całą poduszkę. Białe pierze zawirowało w dusznym powietrzu. Obijało się bezradnie o ściany. Mierzyły ją te cztery ściany. Stawały się coraz ciaśniejsze, chciały ją przytłoczyć, okrążyć, a może nawet zgnieść. Wiedziała o tym i znenawidziła je za to. Wybiegła na dwór. Było ciepło, cicho i spokojnie. Kojąco spokojnie. Wszystko dookoła otulała gęsta, biała mgła. Potem czuła tą mgłę

we włosach. Były zmierzwione i wilgotne. Tak, schowała się w nich mgła. Teraz ściany nie mogły jej nic zrobić. Co za radość. Tak, dopóki ma mgłę we włosach, ściany są niegroźne. Są unieszkodliwione! Ale tylko na pewien czas. Wszystko zaczęło się od nowa, gdy mgła wyschła... W ostatnim momencie wybiegła z mieszkania, znów była górą, była szybsza niż ściany! Biegła po schodach jak burza, w górę, wciąż w górę. Wyszła na dach. Była wietrzna noc. Wiatr pędził po granatowym niebie czarne obłoki. Gdzieś w dole jaśniały światła. Wyglądały tak ciepło, przytulnie... I za to je znienawidziła, za ich ciepło. Chciała je wytluc i zagasić. Wiatr się wzmagał, odgarnął jej włosy z twarzy i rozdarł białą, obszerną koszulę nocną. Poczowała ulgę, kiedy wiatr zaczął ją dotyka. Czowała, że ją pragnie, ona też go pragnęła. Szła mu na spotkanie z zamkniętymi oczyma i odrzuconą w tył głową. A on objął ją, głaskał po twarzy, po piersiach, po całym ciele. Zatrzymała się na skraju dachu. Nie była tak zaślepiona, aby iść dalej. Spojrzała w dół i przeraziła się. Poczowała się zawiedziona, wręcz oszukana, że wiatr nie omotał jej, że nie zawrócił jej w głowie tak, iż bez lęku, z rozkoszą rzuciłaby się z dachu. Ile razy o tym marzyła. Ale teraz otrzeźwiała. Poczowała się mała, samotna i zagubiona. Zrobiło się zimno i chciało się jej płakać. Bała się, ale jak zawsze, gdy spoglądała w dół, czowała to mrowienie w całym ciele i jakaś nieznana, przerażająca siła ciągnęła ją ku sobie. Czyż nie było to może najlepsze wyjście? Zaciśnęła zęby i zażawione oczy. Zrobiło się zupełnie ciemno...

* * * * *

Trudno powiedzieć, co czowała, gdy spadała. Strach, ulgę? Nie krzyczała jednak. W spotkaniu z ziemią nie miała szans. Jej ciało spłaszczyło się lekko i legło w bezruchu, w kałuży krwi, u podnóża wieżowca. Czy była teraz szczęśliwa, tego już się nie dowiemy.

Gdynia, 02.10.1989

POCZEKALNIA

Wacusz był w lekkim szoku. Właściwie nie pamiętał momentu zderzenia z ziemią. Czuł jeszcze w uszach pęd powietrza, słyszał swój krzyk i koniec... Ciemność. A potem to świetliste pomieszczenie. Wacusz w swej biednej, roztrzaskanej, ziemskiej powłoce siedział na twardym krzeselku. Dookoła niego, na takich samych krzeselkach, siedzieli jacyś osowiali i zszarziali ludzie. Ich twarze były pomarszczone, a oczy szkliste i nieruchome. Sprawiało to bardzo nieprzyjemne wrażenie. Wacusz przeraził się, że może i jego oczy nabrąły takiego tępego wyrazu, ale gdy jedna z jego gałek ocznych wypadła na podłogę, po dokładnym jej obejrzeniu, Wacusz uspokoił się. Jego tęczęwka nie utraciła koloru, a nawet stał się on jakby bardziej intensywny. Wacusz włożył sobie oko na miejsce i stwierdził, że jego obluźowaniu się winne jest rozległe pęknięcie czaszki. Musiał teraz unikać gwałtownych ruchów głowy.

Ludzie dookoła chłopca nie odzywali się do siebie, wydawali się być zastygli w bezruchu i zupełnie nieobecni. Próby nawiązania jakiegokolwiek kontaktu nie powiodły się. Wacusz więc naburmuszył się i uznał, że jego sąsiedzi to takie same, jak wszędzie, głupie, niekontaktowe ćwoki. Co chwila do poczekalni wchodził jakiś nowy, zasuszony i pomarszczony staruszek, wyglądający jak pusta, sfatygowana mumia. Była to istna inwazja milczących staruszków, ale wszyscy oni, o dziwo, bez trudu mieścili się w świetlistym pomieszczeniu, a ich przybycie nie wywoływało najmniejszej nawet reakcji wśród obecnych. Pojawienie się Izabelli wzbudziło jednak niemałe poruszenie. Była młoda, a krwawe pręgi na jej nadgarstkach były zbyt widoczne, aby mogły pozostać niezauważone. Snop nienawistnych spojrzeń niczym bicz omiółł jej smukłą, delikatną postać. Izabella stropiła się, a jej kroki stały się jeszcze bardziej niepewne. Usiadła w kącie, a pomarszczone, zgorzkniałe widma ze wstrętem odsunęły się od niej. Wacusz popatrzył na nie z pogardą. Demonstracyjnie wstał ze swego miejsca, przeszedł całą poczekalnię i usiadł obok dziewczyny. Pomarszczone widma spojrzały po sobie i zamruczały coś złowrogo, ale nagle znów na środku pomieszczenia ukazała się złocista plama światła. Wyłonił się niej szczerbaty stworek z tłustym brzuszkiem. Stworek zmrużył złośliwie swoje małe, kaprawe oczka i zawołał : - Następny!

Widma skuliły się i przywarły jedno do drugiego. Brzuchaty stworek ukazał imponującej wielkości przerwę pomiędzy swymi zębami w nieprzyjemnym, wrednym uśmiechu. Zrobił parę kroków do przodu, dokładnie oglądając sobie zgromadzonych w poczekalni.

- Może ty? - zawołał radośnie i za chabety wyciągnął na środek jakiegoś wynędzniałego staruszka. Staruszek opierał się, ale że był mizerny i wychudzony, brzuchaty stworek bez trudu pociągnął go za sobą i obaj zniknęli. Złocista, świetlna plama zniknęła również.

Wacusz siedział obok Izabelli.

- Chcesz papierosa? - zapytał.

- Nie, ja nie palę - odpowiedziała cicho Izabella. - Zresztą pewnie tu nie wolno palić.

- Wolno czy nie wolno, ale mi też jakoś się odechciało - rzekł Wacusz i schował sfatygowaną paczkę „Mocnych” do kieszeni.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

- Zostanę chyba potępiona - powiedziała nagle Izabella. - Widziałeś, jak na mnie patrzyli.

- Nie przejmuj się. To tylko banda starych zgredów, którzy nic nie rozumieją - powiedział Wacusz.

- A jeśli mają rację... Jeśli nie wolno rezygnować z życia...? Zresztą jest mi już wszystko jedno.

Wacusz nie odezwał się. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Wiesz, co jest najgorsze? - powiedziała znów Izabella. - Że wcale nie czuję się lepiej niż przedtem. To tylko zmiana miejsca, a wszystko to w środku, we mnie, pozostało takie samo.

Przekłeta gałka oczna Wacusia znów potoczyła się na podłogę.

- Twoje oko! - zawołała Izabella. - Jaka jestem samolubna. Tak mi przykro. Zawracam ci tylko głowę. A właściwie to, co ci z niej zostało...

Wacusz z nonszalancją machnął ręką.

- Nic nie szkodzi - rzekł jak najbardziej beztroskim tonem. - Ot, spadłem z dachu wieżowca. Bawiliśmy się na dachu i straciłem równowagę. Nic godnego uwagi. Po prostu teraz muszę bardziej uważać na głowę, bo w każdej chwili może mi się czaszka rozlecieć na kawałki.

Izabella podniosła z ziemi oko Wacusia, obtarła o rąbek białej spódnicy i podała je chłopcu. Ich ręce spotkały się.

- Nieźle sobie te żyły podcięłaś - powiedział Wacusz, patrząc na głębokie rany Izabelli.

- Musiałam mieć pewność, że to będzie już koniec. Nie mogłam już dłużej.

- Rozumiem - powiedział Wacusz poważnie.

Izabella popatrzyła na niego z wdzięcznością. Jej wzrok napotkał spojrzenie zdrowego oka Wacusia i ziejący pustką oczodół jego drugiego oka. Gdyby Wacus był choć o parę lat starszy, to może... Kto wie... Zapanowała cisza.

- Włożę sobie oko - powiedział Wacus, przypominając sobie leżącą na dłoni Izabelli gałkę oczną. Zresztą musiał coś zrobić, spojrzenie Izabelli wprawiło go w zakłopotanie.

- Tak, oczywiście - powiedziała Izabella, nerwowo poruszyła się na krześle i chyba lekko się zaczerwieniła. Wacus umieścił oko w pustym oczodole i sprawdził, czy jego czaszka jeszcze się nie rozpadła. Izabella spuściła głowę, a jej otoczone sinymi obwódkami oczy tępo wbiły się w świetlistą podłogę. Wacus delikatnie szturchnął ją w ramię : - Nie smuć się!

Chciał powiedzieć jej : „Nie łam się mała, jestem przy tobie”, uznał jednak, że zabrzmiałoby to wręcz groteskowo, zwłaszcza w ustach bądź co bądź tylko nad wiek rozwiniętego małolata, jakim był przecież przed upadkiem z wieżowca.

Izabella uśmiechnęła się słabo: - Wiesz, szkoda, że nie spotkałam cię wcześniej. Teraz już za późno, ale przynajmniej wiem, że nie wszyscy faceci to fałszywe skurwiele.

Wacus wyprostował się dumnie, jednak poczuł, że oko znów chce mu uciec na podłogę, musiał więc je przytrzymać.

- I tak byłaby między nami za duża różnica wieku - powiedział. - Normalnie nawet nie zwróciłabyś na mnie uwagi.

Izabella znów uśmiechnęła się i spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Twoja głowa! Poczekaj, pomogę ci!

Potem znów zapanowała krępująca cisza. Izabella spoważniała.

- Jeżeli człowiek umiera - powiedziała. - Jeżeli umiera powoli, cząstka po cząstce... Kiedy wciąż umiera w tobie to, co uważasz za najwartościowsze... Mówię teraz o śmierci psychicznej, o procesie nieustannego obumierania wewnętrznego, gdy wciąż jest tylko coraz gorzej... Coraz ciężiej... Przecież człowiek musi mieć prawo przyspieszyć ten rozkład! Co za sens z tym zwlekać!

Twarz Wacusia przybrała wyraz filozoficznej zadumy. Chłopiec wprawdzie nie bardzo wiedział, o co chodziło Izabelli, ale bardzo nie chciał dziewczyny zawieść. Czuł bowiem powagę sytuacji. Przed chwilą Izabella być może powiedziała mu coś, czego nie powiedziałyby komuś innemu...

Po środku poczekalni znów ukazała się pulsująca plama światła i wyłonił się z niej brzuchaty stworek.

- Wstawaj! - zawołał Wacus do Izabelli. - Te staruchy nie bardzo garną się w Zaświaty, a ja nie będę tu dłużej czekać, aż się cały rozsypię.

- Stop!!! - zawołał brzuchaty stworek, a w kaprawych oczkach zamigotały mu złośliwe iskierki. - Nie ma wstępu poza kolejnością. Trzeba trzymać się ustalonego porządku!

- Spadaj na drzewo, palancie - powiedział Wacus.

Sprytnie wyminął stworka i wskoczył w pulsującą plamę światła, pociągając za sobą Izabellę.

Otoczyła ich świetlista nicość. Dziewczyna mocniej ścisnęła jego rękę.

- Co dalej? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedział Wacus.

Bo tego przecież nikt z nas nie wie.

Gdynia 1995.11.27.

KRÓTKA PRZYPOWIEŚĆ O CIERPIENIU

Powietrze po deszczu jest rześkie i przejrzyste. Takie było też tego letniego poranka, gdy w nie skalaną ludzką stopą zieloność Dziewiczego Lasu wkroczył młody, wychudzony człowiek o gorejącym smutkiem wejrzeniu i poważnym obliczu.

- Kim jesteś? - zapytało pobliskie drzewo młodego człowieka.
- Poetą - odpowiedział człowiek o smutnych oczach.
- Czego tu szukasz? - zapytał siedzący na drzewie ptak.
- Zapomnienia . . .

Człowiek brnął przez zieloność lasu, strącając krople deszczu z listowia zarośli, przez które się przedzierał, i bosymi stopami deptając mokrą trawę. Wszystkie barwy, jak to zwykle po deszczu, stały się intensywniejsze, ale smutny człowiek tego nie zauważył.

- Czy nic nie jest w stanie cię zachwycić? - rzekł kwiat, dumnie rozwierając kolorowe płatki, na których perliły się kropelki wody.

- W życiu zdarzają się czasem rzeczy, które sprawiają, iż człowiek obojętnie na wszystko - odrzekł młodzieniec, przechodząc niewzruszony obok pięknego kwiatu.

- Cóż więc jest przyczyną tego chmurnego smutku, malującego się na twym obliczu? - odezwała się wreszcie wszechobecna poranna mgła, spowijająca cały Las Dziewiczy swym białym welonem.

- Nie pytaj mnie o to - odrzekł młodzieniec, wchodząc w jej gęstniejące coraz bardziej opary. - Szukam zapomnienia. Obrzydła mi wzdarda jednych jak i podziw drugich. Dość mam pobłażliwości jak i lekceważenia! Nie chcę, aby patrzano na mnie jak na cudaczne zjawisko!! Szukam istoty, która nie musiałaby starać się mnie zrozumieć, gdyż rozumiałaby mnie od razu, gdyż czułaby jak ja. Pragnę pełni w jedności i braterstwie dusz! A jeśli tego mieć nie mogę, nie pragnę niczego.

- To piękne - powiedziała mgła i odtąd byli już nierozłączni.

Odeszli w skalistą, ponurą okolicę, gdzie nie przeszkadzał im ani ptak, ani kwiat, ani drzewo. Młodzieniec ranił bosc stopy o ostre kamienie, a mgła chłodziła mu czoło. Smutna, skalista okolica zdawała się być, tak jak wychudzony młodzieniec, pogrążona w cierpieniu. Mgła spowiła ich oboje obłokiem melancholii i czujnie stała na straży ich samotności. Młodzieniec moczył krwawiące stopy w zimnym, płynącym między skałami potoku i rozkoszował się ciszą.

- Czymże jest świat i jego złudne pokusy w obliczu tej ciszy i zimna tego potoku - wołał młodzieniec. - Lecz, czy uwierzysz, że jeżeli coś zdarza się w życiu zbyt późno, nie cieszy już. Jeśli czeka się nazbyt długo i nie doczeka się spełnienia swych pragnień, można zapomnieć, na co się czekało. I ja zapomniałem, że kiedyś to było moim marzeniem. I oto ziściło się ono teraz. Ale to już nie raduje mej duszy, gdyż zapomniała, iż kiedyś tego właśnie pragnęła . . .

To mówiąc, schwycił rąbek mgły i piórem, zgubionym przez jakiegoś ptaka, nakreślił kilka linijek, tchnących bólem i tęsknotą.

- To piękne - powiedziała znów mgła.

- Tak myślisz? - odrzekł młodzieniec. - Gdy umarłem jako człowiek, pozostał w mej duszy jeszcze poeta. Tak, można żyć swoim upokorzeniem, pławić się w goryczy i bólu swojego niespełnienia się . . .

Gęstniejąca mgła przesłoniła niebo i skały, i potok.

- Kiedy zrozumiesz, że jesteś inny niż pozostali, czujesz się nieszczęśliwy i samotny. Ale gdy poznasz życie tych pozostałych, cieszysz się, żeś inny. Zaczynasz lękać się jednak wtedy powszedniości, uciekasz przed wszelką trywialnością, gdyż boisz się, iż w ogłupiającej pospolitości zatracisz swe własne ja. Codziennność zabija naszą duszę, powszedniość zabija poetę.

- Przyczepię twe słowa przelatującym ptakom - powiedziała mgła. - Niech niosą twe wiersze w świat. A jeśli znajdzie się choć jedno współczujące serce, które dzięki twym słowom poczuje ulgę i pociechę w swej samotności, spełnisz się jako poeta.

Młodzieniec siadł na skale i zamyślił się.

- Nie zależy mi na tym - powiedział. - Jest mi to obojętne. Ludzie nic nie rozumieją. Każdy widzi to, co chce widzieć, a nie to, co jest naprawdę. Nawet więc ich podziw i zachwyt nie różni się niczym od ich obojętności. Nie warto dla nich tworzyć. Piszę dla siebie. Tworzę, bo tego potrzebuję. Sam jestem twórcą i swym jedynym czytelnikiem!

- Zapominasz, że masz jeszcze mnie - powiedziała cicho M G Ł A. - A jednak wyślę twe wiersze w świat.

Kiedy umiera dusza ludzka, pozostaje jedynie cielesna skorupa. Ale życie bólem i własnym cierpieniem może wskrzesić duszę, choć jej nie uzdrowi. Kaleka dusza oświecła wtedy swą cielesną powłokę bladym promyczkiem nadziei. Jeśli jednak to światelko zgaśnie, człowiek umiera ponownie, gdyż zbyt długie

oczekiwanie rodzi zwątpienie - największego wroga nadziei. Czas goi rany i ludzi odmianą na lepsze, ale przeraża też swym apatycznym, bezcelowym upływem. Życie człowieka bowiem nie ciągnie się w nieskończoność. Wszystko ma swój czas i swoje miejsce. Wymarzone jutro może więc czasami nadejść już trochę za późno . . .

Kiedy umiera człowiecza dusza, zamierają wraz z nią człowiecze potrzeby.

Młodzieniec ranił stopy do krwi o ostre kamienie i moczył je w lodowatym potoku.

Gdy umiera duch, pozostaje tylko ciało.

- Kim jesteś, banito ludzkości? - pytała czasem Mgła. - Zdradź mi swe imię i przyczynę twego wygnania.

- Pozostaw mi mą tajemnicę - odpowiadał wtedy M Ł O D Z I E N I E C . - Słowo jest zdradliwe i mój ból wydałby ci się śmieszny, jak często śmiesznym i bezpodstawnym wydaje się nam cierpienie drugiej osoby. Zaręczam ci jednak, że jest mi nie do śmiechu i cierpienie me nie jest jedynie wymysłem mojego chorego umysłu.

- Twój ból jest moim bólem, choć tylko niejasno przeczuwam jego przyczynę - powiedziała pewnego razu Mgła. - Bo ja cię kocham.

Młodzieniec zamknął oczy i poczuł na swym ciele jej chłodny i wilgotny dotyk. A więc jednak nie stracił nadziei. A więc żył jeszcze. Czekał. I nie zauważył, że, czekając cudu, odnalazł obok siebie współczującą, bliźniaczą duszę. A gdy zdał sobie z tego sprawę, był już zakochany. Miłość przeżarła jego dogorywającego ducha, wsączając się w jego serce swym słodkim jadem.

- Czyż to nie idiotyczne - powiedział wtedy Młodzieniec. - Bo i ja ciebie kocham. Nigdy bowiem dotąd nie czułem tak drugiej istoty, jak odczuwam ciebie.

Miłość to wielka tajemnica ducha. Ale nawet dręczone głodem i chłodem ciało upomni się kiedyś o swoje prawa. Ciało bywa zazdrosne o zaspokojoną duszę.

- Czyż nie znalazłeś tego, czego pragnąłeś - powiedziała Mgła.

- Sądziłbym tak, gdybyś była kobietą - odpowiedział Młodzieniec. - Ale ciebie właściwie nie ma. Byłe wietrzyk rozgania cię i upycha w szczeliny skalne . . . Ach, gdybyś była kobietą!

- Jestem nią przecież - cicho rzekła Mgła. - Czyż inaczej mógłbyś się we mnie zakochać?

- Twój duch jest żeński, ale nie masz ciała.

- Lecz nasza miłość jest dzięki temu idealna, czysta i nieskalana.

- Precz z ideałami!! - zawołał Młodzieniec, zrywając się ze swej samotnej skały. - Precz z niechcianą czystością! Nie jestem świętym, ani też ascetą! I żadnym z nich nigdy być nie chciałem! Nie niebiańskiej aureoli pragnę! Chcę cieszyć się życiem! Pragnę całkowitego spełnienia, gdyż mam także ciało!

- Ale masz także i wyobraźnię, więc zrób z niej użytek. „Marzeniem stwarzam świat” - rzekł pewien uczony! Czyż nie jest to naszą dewizą?!

- Mam dość wszelkich iluzji! Ja istnieję realnie! Stoję tu przed tobą w tej cielesnej powłoce, która nie iluzji żąda i fikcją się nie zadowoli! Więc nie dręcz mnie dłużej, gdyż moje ciało zwyciężyło ducha! Odejdź lepiej.

I Mgła odeszła. Pozostała jednak w sercu Młodzieńca. Ogromna jest bowiem siła ducha, a umierająca dusza przeżarta miłosnym jadem, nie może się już od tej trucizny wyzwolić. Głos Mgły i jej wilgotne pieszczoty nie opuściły więc skalistej pustyni. We śnie i na jawie Młodzieniec czuł niemal realnie obecność swej lubej. A wspomnienie jej mglistej postaci zatarło się w jego pamięci. Jej kobiecość zwyciężyła ulotną powłokę, a potęgą jego ducha nadała kobiecą formę tworowi umysłu. Rozpoznał ją od razu, choć już mgłą nie była.

Iluzja stała się realnością, a marzenie - ciałem.

- Stworzyłeś mnie - rzekła Mgła ustami pięknej, nagiej Dziewczyny. - Oto jestem.

I dwie bliskie sobie istoty złączyły się w miłosnym szale cielesnej rozkoszy. Stało się to, o czym od dawna oboje marzyli. Ich miłość spełniła się, także i fizycznie. Cielesna rozkosz, fizjologiczna żądza i uniesienie duchowe zlały się w jedną miłosną ekstazę. Świat zawirował wokół nich i zniknął. Pozostali tylko oni dwoje: dwie dusze, bratnie i spragnione siebie, w dwóch ciałach, rozpalonych gorącą pieszczotą. Dwa istnienia zlały się w jedność . . .

* * *

Każdy musi znać swój cel w życiu. Jeśli jest nim cierpienie - trzeba je znosić w pokorze.

Cierpienie znika, gdy zastąpi je rozkosz. Ale gdy i ona przeminie, powraca ponownie bolesna rozpacz. Jeśli jednak nie ma już powodów by cierpieć, a nie znajduje się w sobie nawet cienia radości z minionej rozkoszy . . . ?

Długotrwałe cierpienie czasem uniemożliwia przyjęcie szczęścia.

Wschodzące słońce zastało ich nagich, leżących obok siebie na granitowej skale, uspionych po miłosnych igraszkach nocy. Nad skalistą pustynią ranek błękitniał pogodnie, jakby i on radował się ich szczęściem. Słońce delikatnie obudziło Mgłę. Przeciągnęła się wdzięcznie w swym nowym, kobiecym ciele. Jej towarzysz już nie spał. Młody poeta, z obliczem zwróconym ku niebu, siedział obok, tyłem odwrócony od niej.

- Dzień dobry - powiedziała łagodnie Mgła, delikatnie odgarniając mu włosy z twarzy. Młodzieniec ocknął się z zamyślenia.
- I co teraz? - zapytał. Oczy jego znów pełne były bezgranicznego smutku.
Mgła nie zrozumiała. Uśmiechnęła się bezradnie swym ozłoconym przez słońce, kobiecym ciałem.
- Co teraz? - zapytał ponownie Młodzieniec.

Gdynia, 25. 08. 1996

NIEBAŚNIOWA HISTORIA

1

Za górami, za lasami, pośród zielonych, malowniczych pól stał niewielki, murowany zameczek. Piaszczystą drogą do niego wiodącą kroczyła bardzo brzydka i bardzo paskudna MASZKARA. Człapała powoli, ciągnąc po piasku swój wyliniały ogon i wzburzając tumany kurzu haczykowato zagiętymi pazurami.

- Fajna chata ! - pomyślała Maszkara, patrząc na murowany zamek i zastukała w solidne, drewniane drzwi wejściowe. Otworzył jej wysoki, blady, jasnowłosy młodzieniec. Był to pan tego zamku, sam książę Zielonopolski. Siedział właśnie w swojej bibliotece i czytał książkę. Ale wzrok uciekał mu z maczkiem zapisanych stron ku zielonym, bezkresnym łąkom, rozciągającym się za oknem, serce zaś ścisnęła mu dziwna tęsknota. Zapewne działo się to za sprawą wiosny, która tego roku była przerażająca w pięknie swego rozkwitu. Czarowała wybujałą zielenią traw, kusila intensywnym błękitem nieba i drażniła złocistą, słoneczną poświatą. Nic więc dziwnego, że książę nie mógł się skupić i popadł w melancholijne, wiosenne rozmyślenia. Energiczne łomotanie do głównych drzwi wejściowych wyrwało jednak Zielonopolskiego z tej zadumy. Zszedł na dół i odciągnął mosiężną zasuwę, a wtedy oczom jego ukazała się w całej swej odrażającej szpetocie krępa postać Maszkary.

- Cześć! - powiedziała Maszkara. - Kim jesteś?

- Jestem księciem - powiedział lekko zdumiony książę.

- A ja jestem piękną królewną, zaklętą w szpetną maszkarę - oznajmiła Maszkara.

- Aha! - mruknął książę. Zapanowało kłopotliwe milczenie.

- Miło mi poznać - rzekł Zielonopolski po chwili i postanowił zamknąć drzwi Maszkarze przed nosem. Ta jednak zawołała:

- Nie zaproponujesz mi gościny!?

Książę spojrział na nią niepewnie. Maszkara splunęła i roztarła plwocinę po ziemi swą nagą stopą o krogulczych szponach. - Wiesz co grozi za odmowę gościny szpetnym istotom, które tak naprawdę wcale nie są szpetne!?

Książę czytał wiele książek i znał masę najprzeróżniejszych historii, wiedział więc, że pod postacią różnych maszkar najczęściej kryją się piękne, dobre wróżki. W przebraniu takim przemierzają one nieraz spore odległości i, chcąc wypróbować dobre serce takich jak on młodzieńców, pukają do przydrożnych zamków, prosząc o nocleg i kęs czarnego chleba. Książę wiedział też, jak okrutna kara spotykała tych, którzy im odmówili (od natychmiastowego porażenia gromem po przemienienie w odrażającą bestię!). Maszkara wprowadzie nie poprosiła ani o nocleg, ani o kęs czarnego chleba, ale z podstępnyimi, dobrymi wróżkami nigdy nic nie wiadomo... Książę więc szybko dwornym gestem zaprosił Maszkarę do środka.

- Fajowa chałupka! - powiedziała z uznaniem Maszkara i beknęła głośno. - Kurde, coś bym zjadła.

- Właśnie jadłem obiad - skłamał książę. - Może zechciałabyś mi towarzyszyć?

- Jeszcze się pytasz ! - odparła Maszkara i wyszczerzyła swe żółte, nieliczne zęby w czymś co miało być uśmiechem.

Po obfitym posiłku książę oprowadził gościa po zamku.

- Po co ci tyle książek ?! - zapytała Maszkara, gdy oglądała ogromną, zajmującą pół zamku bibliotekę księcia.

- Bo kocham je czytać - odpowiedział książę i zarumienił się.

Książki były jego pasją, a właściwie jego całym światem. To one opowiadały mu o ludziach, mieszkających tam gdzie za murami jego domostwa. To one dostarczały mu inspiracji do filozoficznych dysput, które staczał sam ze sobą. To one zapewniały mu rozkosz i ból poznania. To one...

Zielonopolski nie musiał więc oglądać prawdziwego świata i nie opuszczał prawie wcale zamku. Było przecież tyle książek do przeczytania! A poddani księcia, znając jego słabość, znosili mu z całej krainy wszystko, co nadawało się do czytania. Wystarczyło więc tylko rankiem podejść do głównej bramy i to, co pod nią pozostawiono, wnieść do biblioteki. Książę nie musiał więc opuszczać zamku nawet w celu zdobywania nowych pozycji do swojego księgozbioru. Mógł bez reszty oddawać się lekturze swych pism. Czasem tylko ogarniała go dziwna tęsknota na widok bezkresnych, ukwieconych stepów...

- „Hodowla jedwabnika morwowego”, „Interferencja idei w świetle dualizmu quasi-przestrzennego”, „Z alchemią na ty” - literowała tytuły na obwolotach książek Maszkara. - Masz szeroki rozstrzał zainteresowań!

- Nie zawsze rozumiem to, co czytam - przyznał się książę i skromnie spuścił oczy. - Fascynuje mnie po prostu sam proces poznawania nowych treści. Czy to nie wspaniałe, że za pośrednictwem kilkudziesięciu znaków człowiek człowiekowi może tak wiele przekazać! Mogę zaznajomić się z myślami ludzi, których nie ma już wśród nas, albo z którymi nigdy się nie spotkam! - książę westchnął rozmarzony.

Maszkara zmrużonymi oczami spojrzała na jego rozanieloną twarz, potem na stopy ksiąg i pokiwała głową.

- Tak - powiedziała. - Masz szczęście, że przechodziłam tędy. Ze mną nie będziesz się już nudził i nie będziesz musiał już zabijać czasu ślęczeniem w tych zakurzonych papierach. Teraz co wieczór będę ci grała na harfie i śpiewała tkliwe pieśni miłosne. A wiedz, że mam niebywały talent muzyczny!

Książę zbladł, ale stanowczość Maszkary onieśmieliła go.

- Wrosłeś w ziemię, czy co? - zawołała Maszkara. - Ruszaj się! Żwawo! Już, już! Chłe! Chłe! - zarechotała, wypychając księcia z jego ukochanej biblioteki.

Odtąd Zielonopolski nie miał czasu już tam zaglądać. Spacer po ogrodzie, wspólne kolacje przy świecach, czuła gra miłosnych spojrzeń, wszystko to teraz wypełniało Zielonopolskiemu czas bez reszty. Oczywiście najbardziej ekscytujące były obiecane wieczorne koncerty. Maszkara brzdąkała wtedy na harfie, muzyką próbując oddać potęgę trawiącej ją namiętności. Skrzekliwy głos zakochanej istoty wznosił się w przestworza, chrapliwym rezonansem zwiększając poziom ekspresji jej śpiewu. Czasem, nieczuła na prawdziwe piękno i artyzm, z hukiem pękała szyba, lub rwała się złośliwa struna, szarpnięta nazbyt mocno krogulczym pazurem. Maszkara przerywała wtedy muzykowanie, śmiała się krotocwilnie i wysuwając nieco do przodu swą grubą, kosmatą nogę, rzucała księciu zabójcze, namiętne spojrzenia. Książę zaś, niczym zasuszony embrion, siedział skulony i zgarbiony w kącie, coraz bledszy, coraz cichszy i coraz tęskniej spoglądający to na drzwi od biblioteki, to na zielone, bezkresne pola, rozciągające się za oknem.

- Twoja miłość uczyni mnie znów tak piękną, jak byłam dawniej - szepnęła księciu do ucha któregoś razu Maszkara. - Tylko prawdziwe, szczere uczucie potrafi zdjąć ze mnie zły czar. Uczyni mnie wolną! Uczyni mnie piękną! - zawołała i swymi krzepkimi rączkami schwyła oblubienca za wątle ramiona.

Książę więc trzymał ją za rękę, tak jak kazała, patrzył jej w oczy najczulej jak potrafił, ale wszystko na próżno. Maszkara nie stała się ani odrobinę mniej szpetną niż była.

- Ty niedojdo! - zaczęła się wtedy wydzierać ta pokrzywdzona przez naturę istota. - Gdyby twe uczucie było tak silne jak moje, natychmiast odzyskałabym dawną postać! Musisz kochać mnie mocniej! Musisz zatracić się cały w miłości do mnie! Tylko wtedy będziesz mógł mnie odczarować! Nie stój więc jak cielak!

Ale książę spuścił tylko głowę i znów tęsknie spojrzał w stronę swojej biblioteki.

2

Maszkara zażyczyła sobie szykownych, eleganckich sukien (aby mieć w co się ubrać, gdy będzie już piękna) oraz całej masy najprzeróżniejszych kosmetyków upiększających.

- Może one będą bardziej skuteczne niż to twoje anemiczne uczucie - powiedziała do księcia.

Wozy, obładowane strojami, kosztownościami, wonnymi pachnidłami, miksturami i olejkami upiększającymi, wzbudziły powszechne zainteresowanie, a po okolicy rozniosła się wieść, że książę wreszcie znalazł sobie towarzyszkę życia. Ponieważ jednak nikt jej dotąd nie widział, na podstawie zawartości wozów, ciągnących karawaną ku zamkowi, uznano, iż wybranka Zielonopolskiego musi być skończoną piękną. Jakże mogłoby być inaczej, skoro książę otacza ją takim zbytkiem i przepychem. Ostatecznie poddani księcia doszli do wniosku, że oblubienica ich pana jest tak urodziwa i delikatna, że Zielonopolski musi ukrywać ją przed zawistnym okiem ludzkim, które z pewnością nie zniosłoby widoku piękna i szlachetności książęcej wybranki uknułoby jakąś niegodziwą podłość, by zniszczyć szczęście zakochanych. Mało to zawistników na świecie? Tych nigdy przecież nie brakowało.

Pogłoski o nadzwyczajnej urodzie ukochanej księcia dotarły do młodego, pięknego, ale bardzo, bardzo złego czarnoksiężnika, mieszkającego w tej okolicy.

- Cha! Cha! - zaśmiał się złośliwie ten podły młodzian. - Już ja wam zepsuję tę waszą idyllę! Drżycie słodkie gołąbki, bowiem Złojdejrus wkracza do akcji.

To mówiąc, czarnoksiężnik machnął swym długim czarnym płaszczem, dosiadł swego latającego węża i pofrunął na nim w stronę książęcego zamku.

Zapadał już wieczór. Złojdejrus, pod osłoną opanowujących świat ciemności, zręcznie wślizgnął się przez okno do rezydencji Zielonopolskiego, nakazując swojemu wężowi grzecznie czekać pod oknem na powrót pana. Zły czarnoksiężnik szedł za głosem donośnego chrapania, które trzęsło całym zamkiem. Sądził, że doprowadzi go ono do sypialni szczęśliwych oblubieńców. I nie pomylił się. Wkrótce wszedł do słabo oświetlonego dużego pomieszczenia, pełnego tiulu i koronek. Mdłe światło pozwalało się domyślać, iż za dnia ściany tej komnaty były wściekle różowe. Po lewej stronie Złojdejrusa znajdowała się ogromna sterta kosztownych, kobiecych strojów. Czarnoksiężnik wiedział już, że jest w komnacie ukochanej księcia. Ponieważ w łóżu znajdowała się jedna tylko istota, głośnie chrapanie musiało dochodzić z sąsiedniego pomieszczenia, w którym zapewne słodko drzemał Zielonopolski. Czarnoksiężnik zgasił stojącą na stole świecę. Powoli zbliżył się do śpiącej piękności. W tym momencie księżyc zakryły błakające się po niebie chmury. Zrobiło się zupełnie ciemno. Czarnoksiężnik zrzucił płaszcz z ramion i po omacku owinął nim istotę, śpiącą w łóżu. Istota ta widocznie się przebudziła, bowiem zaczęła się nieco rzucać. Jednak wprawne uderzenie w głowę szybko pozbawiło ją przytomności. Wkrótce więc Złojdejrus ze swym łupem na plecach wracał na latającym wężu do

swojej ponurej, krzywej wieży, wznoszącej się na samotnej skale nad brzegiem morza. A czas był już najwyższy, gdyż porwana istota doszła do siebie i wierzgała coraz gwałtowniej. Złodejrus zrzucił ją z pleców na kamienną podłogę, zerwał z niej swój czarny, aksamitny, długi płaszcz i złowieszczy śmiech triumfu ugrzązł mu w gardle. Maszkara, mrużąc oczy od oślepiającego ją blasku łuczywa, powoli przybierała pionową postawę.

- Czego się tak lampisz! - wychrypiała Maszkara do młodego czarnoksiężnika. - Aha! Pewnie już jestem oszłamiająco piękna! Pokaż mi zwierciadło! Też chcę to zobaczyć.

Złodejrus w milczeniu ukazał na przeciwległą ścianę, na której wisiało duże lustro w starodawnej, drewnianej oprawie.

- Jednak nie - powiedziała rozczarowana Maszkara. - A już wiem! Porwałeś mnie!?

- Tak - odpowiedział Złodejrus, wołąc na razie trzymać się w bezpiecznej odległości od pomarszczonej stwory, stojącej przed nim.

- I bardzo dobrze! - powiedziała Maszkara. - Książę wreszcie pojmie, jak wielkim jestem skarbem i zrozumie, że nie może żyć beze mnie. A potem odbije mnie! Tobie skuje mordę na kwaśne jabłko, mnie zawiezie z powrotem do swego zamku i czułym pocałunkiem przywróci mi dawną postać.

- Z pewnością - powiedział czarnoksiężnik, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu, jak natura stworzyła tak obłeśne stworzenie.

- Wreszcie czuję się jak heroina prawdziwej, romantycznej historii - wyszczerzyła się Maszkara. - Ale dość tych gadek. Skoro mam tu być więziona, musisz zrobić tutaj porządek. Panicznie boję się pajaków, musisz więc sprzątnąć te pajęczyny. Odkurzyć też by się tu przydało. No, na co czekasz!? Raz, dwa!

Używając najbardziej szpetnych przekleństw Złodejrus zabrał się za sprzątanie. Maszkara siedziała na podłodze i przyglądała mu się z przyjemnością. Złodejrus przecież, pomimo swego czarnego i bardzo wrednego charakteru, był niezwykle urodziwym młodzieńcem. Szybko więc Maszkara poczuła, że chyba go lubi...

- Jakie to życie jest dziwne - myślała sobie. - Siedzę tu uwięziona przez niesamowicie przystojnego faceta i czekam, aż przybędzie po mnie drugi, równie niesamowicie przystojny facet. Jeden będzie chciał mnie uratować, drugi nie będzie chciał mnie puścić od siebie, bo i on zrozumie, że żyć beze mnie nie sposób, będę więc patrzyła, jak oni obaj walczą ze sobą, jak biją się o mnie! Czyż to nie jest romantyczne!? Ale to nie będzie romantyczne! Bo ja nie będę wiedziała, któremu z nich mam kibicować!...

Maszkara rozważała możliwość przerwania śmiertelnego boju obu młodzieńców zapewnieniem, że jest w niej tyle miłości, iż starczy dla nich obu. A więc tak właściwie nie ma powodu do walki. Przeraziła ją jednak amoralność takiego rozwiązania. Na razie więc postanowiła uprzyjemnić czas swemu porywaczowi grą na mandolinie, który to instrument dostrzegła w kącie swojej celi.

3

Książę nie chciał wierzyć, że Maszkara odeszła. Ostrożnie zaczął sprawdzać komnatę po komnacie. „Czyżby naprawdę zniknęła? Czy aby na pewno się nie odnajdzie?” - myślał z przestrachem, uchylając kolejne drzwi. Ale Maszkary nigdzie nie było. Zaś biblioteka pachniała tak miło kurzem i wonią starych książek. Zielone pola za oknem nie kusily już księcia ani trochę, marzył teraz tylko o książkach. Zasiadł w miękkim fotelu i z namaszczeniem otworzył leżącą obok księgę. Cóż to była za błoga rozkosz. Książę spędził cały dzień w swojej bibliotece. Potem drugi, trzeci. Wspomnienie Maszkary zbladło, a potem odeszło zupełnie w zapomnienie. Zaczytany książę rozkoszował się teraz ciszą, panującą w zamku i niczym nieograniczoną możliwością czytania książek. Niestety ktoś, kto podpisał się mianem „wielce życzliwej księżu osoby”, w formie anonimu powiadomił Zielonopolskiego, iż sprawcą nieszczęśliwości księcia (w domyśle: tym, który porwał jego ukochaną) jest podły i nikczemny Złodejrus. Zakłóciło to niestety błogi spokój księcia. Zgodził się oczywiście z tym, że Złodejrus to wstrętny typ i ktoś powinien mu wreszcie dać nauczkę, do czego tak gorąco wzywał księcia wspomniany już anonim. Nie bardzo jednak rozumiał, dlaczego tym kimś miałby być właśnie on. Tytu jest przecież innych pięknych i szlachetnych książąt na tym świecie!! Zaraz jednak przypominał sobie Maszkarę. Zwykła, ludzka przyzwoitość, nie mówiąc już o wrodzonej szlachetności księcia, nakazywały jednak upomnieć się o tę uprowadzoną przemocą istotę. Zielonopolski postanowił więc odwiedzić złego czarnoksiężnika i kulturalnie (obaj byli w końcu ludźmi na poziomie), aczkolwiek stanowczo, powiedzieć mu parę słów do posłuchu. Wizytę tę jednak książę odkładał jakoś z dnia na dzień. Postanowił porozkoszować się jeszcze trochę wolnością, zanim siła jego prawości oraz potęga retorycznej swady rozłoży nikczemnego czarnoksiężnika na łopatki i na powrót sprowadzi do zamku despoticzną Maszkarę. A czas uciekał...

4

Jak to się mówi: „Nie przyszła góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry”. Tak też pewnego, pięknego dnia do biblioteki księcia zwinnie wskoczył przez okno podły czarnoksiężnik. Któż poznałby teraz w tym wynędzniałym, bladym brunecie z podkrążonymi oczyma dawnego butnego, zarozumiałego Złodejrusa. Wierzcie mi, że był to jednak na pewno on. Świadczył o tym choćby czarny, długi płaszcz, okalający smukłą

postać przybyłego młodzieńca. Oto co czyni z człowieka kilkumiesięczne obcowanie z Maszkarą! Książę gwałtownie poderwał się ze swego miejsca.

- To jest bezczelność! - chciał zawołać oburzony, ale jakoś nie powiedział nic.

Obaj antagoniści stanęli wreszcie twarzą w twarz. Nadszedł nieubłagany czas konfrontacji. Książę przełknął nerwowo ślinę i milczał dalej. Złodziejrus również się nie odzywał, stał tylko blady i ponury, a lekki powiew wietrzyka poruszał fałdami jego płaszcza. Książę, dla nadania większej powagi swym słowom, postanowił nie przerywać jeszcze panującej ciszy.

- Zabierz ją, proszę - powiedział nagle błagalnie Złodziejrus.

Zielonopolski spojrział na niego z niedowierzaniem. Tego się nie spodziewał.

- Ja już nie mogę - ciągnął zły czarnoksiężnik. - Ona mnie wykańcza nerwowo, psychicznie, fizycznie... Jestem strzępem człowieka! A to wszystko przez nią! Dam ci połowę moich skarbów, tylko weź ją sobie!

Książę roziskrzyły się oczy. Za skarby Złodziejrusa mógłby, nie naruszając własnej rodowej fortuny, kupić bibliotekę księcia sąsiedniej krainy. Od dawna o tym myślał. Tyle nowych, unikalnych pozycji! I to właściwie za darmo! Jednak wrodzona prawość Zielonopolskiego przewyciężyła w nim niecną chęć łatwego wzbogacenia się cudzym kosztem.

- Niech będzie jedna trzecia - powiedział szlachetnie książę. Wychudzone oblicze Złodziejrusa rozjaśniło się radośnie. Czarnoksiężnik podbiegł do okna i wychylił się na zewnątrz :

- Wszystko załatwione, złotko! Wracasz do domu - zawołał.

- Ona tu jest? - spłoszył się książę. Wizja fałszywego zawołania Maszkary wraz z niemożnością korzystania z biblioteki stanęła przed oczami Zielonopolskiego z całą wyrazistością. - Nie, jednak nie mogę tego zrobić.

- Jej to powiedz - rzekł Złodziejrus i uśmiechnął się złośliwie.

Książę z przerażeniem spojrział na radośnie wchodzącą do sali Maszkarę. Wydała mu się jeszcze brzydsza niż kiedykolwiek.

- Wiedziałam, że oddasz cały swój księgozbiór i wszystkie bogactwa, żebym tylko mogła wrócić do ciebie! - powiedziała Maszkara.

- Co!?! - zawołał książę. - To on zaproponował mi jedną trzecią swych skarbów, byle tylko się ciebie pozbyć!

- Co!?! - zawołała teraz Maszkara i spojrzała na Złodziejrusa. Ten zaczerwienił się jak burak. Maszkara wyglądała na prawdziwie nieszczęśliwą.

- Teraz wiem dlaczego nie stałam się znowu piękna - powiedziała cicho. - Żaden z was mnie nie kochał. Żaden...

- No cóż - powiedział książę. Poczul się teraz panem sytuacji. Zrozumiał, że nadeszła godzina prawdy. - Zdarza się. Ja nie mogłem cię pokochać. Teraz zrozumiałem, że kocham tylko książki. Wiesz, jaką ulgę poczułem, gdy zniknęłaś! To było jak cudowny sen!

- Jesteś wstrętny - powiedziała ze łzami w oczach Maszkara.

- Nie, po prostu szczery - rzekł Zielonopolski. - A szczerłość to właśnie cecha prawych i szlachetnych ludzi, czyli takich jak ja!

- A ja się tak cieszyłam, że cię znowu zobaczę - łkała Maszkara. Złodziejrus spróbował ją pocieszając otoczyć swym męskim ramieniem - żal mu się zrobiło tej nieszczęśliwej istoty. Ponieważ jednak nie miał wprawy w spełnianiu dobrych uczynków, wyszło to dość niezręcznie, a załamana Maszkara wyrwała mu się gwałtownie. Czarnoksiężnik stanął bezradny i poczuł się strasznie głupio.

- Ja cię więc nie mogę odczarować - ciągnął dalej książę, zachwycony swą mądrością i dojrzałością życiową. - Ale on może! - zawołał radośnie, bo w głowie zrodziła mu się myśl godna umysłu geniusza.

Złodziejrus spojrział na niego zdziwiony.

- Oczywiście, że możesz - mówił książę z rosnącym zapałem. - Twoja dusza i serce są wolne. Nie trawi ich namiętna pasja, jak w moim przypadku - Zielonopolski był coraz bardziej urzeczony potęgą swego intelektu. - Ta zaklęta piękność to narzędzie w rękach losu, które pomoże ci w przejściu na stronę dobra! Ty zwrócisz jej piękno cielesne, ona uzdrowi twą duszę.

Czarnoksiężnik i zapłakana Maszkara patrzyli na niego zaskoczeni.

- Jeszcze nie rozumiecie!? Szczera, prawdziwa miłość, jaka zakwitnie między wami, uwolni nie tylko ciebie, zaklęta królowo, ale również będzie pierwszym dobrym uczynkiem tego czarnoksiężnika. Obdarzając cię gorącym uczuciem, nie tylko zdejmie on z ciebie złe zaklęcie, ale również zrobi pierwszy krok ku światłości! Oczyszcisz swą duszę ze zła i występku! Rozumiecie teraz?

- Rozumiem tylko tyle, że chcesz się wykręcić sianem - zawołała Maszkara.

- Błąd w rozumowaniu - roześmiał się dobrodusznym książę. - Chcę wam po prostu ukazać, że jesteście stworzeni dla siebie!

- Nie chcę jałmużny, ani resztek z cudzego stołu! - zawołała Maszkara i wybiegła z sali. Dosiadła latającego węża i tyle ją widzieli.

- Sądziś, że rzeczywiście mogę stać się dobrym? - zapytał z niedowierzaniem Złodziejrus.

- Ależ oczywiście - powiedział Zielonopolski. - Pamiętaj tylko, że to niełatwa droga. Wyrządziłeś wiele zła.

Cierpienie będzie za nie pokutą. Dlatego też twoje odrodzenie duchowe dokonywać się będzie w bólach i męce. Wasza miłość zrodzi się w cierpieniu, ale odrodzi was oboje. Oto zbawcza moc miłości!

Czarnoksiężnik zamyślił się, poczym obrócił się na pięcie i powoli wyszedł.

Książę zaś siedział w swej bibliotece z majestatycznym uśmiechem na wargach. Wiedział, że postąpił słusznie. Prawda czasem bywa bolesna, ale czyż wszelka doskonałość nie rodzi się w trudzie i cierpieniu? - „Kto to powiedział?” - zastanowił się książę. - „Nieważne. W każdym razie życzę im szczęścia” - Zielonopolski zachwycił się wzniosłością całej tej sytuacji, a także oczywiście własną szlachetnością. - Jednak życie może być równie patetyczne i podniosłe jak w książkach - powiedział do siebie, po czym otworzył grubą księgę, leżącą na stole, i do wieczora czytał, bez reszty pochłonięty lekturą.

Tymczasem Maszkara z płaczem wpadła do krzywej wieży. Zamknęła się w swojej sypialni i rozszołała się na całego. Marzyła teraz, aby Złodejrus siłą wyważył ciężkie drzwi od jej komnaty, padł przed nią na kolana i wyznał jej swe gorące, od dawna tłumione uczucie. Ale zmęczony długą, pieszą wędrówką (Maszkara zabrała przecież latającego węża) i zbyt przejęty chęcią stania się dobrym Złodejrus nigdy nie považowały się na taką zuchwałość. Cicho, na palcach chodził po korytarzach, aby nie przeszkadzać zropanzonej Maszkarze i zastanawiał się, skąd będzie wiedział, że już jest dobry. Na razie czuł się okropnie niezręcznie i naprawdę zupełnie nie wiedział co ma teraz robić.

* * * *

Czytelników, zainteresowanych dalszym losem naszych bohaterów, śpieszę zawiadomić, że Maszkara uciekła z krzywej wieży z pewnym Maszkarem, który był na tyle szpetny i obleśny, iż zakochał się w niej do szaleństwa, a Maszkara wreszcie poczuła się przy nim tak piękną, jak zawsze być pragnęła. Jej ucieczkę Złodejrus zniósł z pokorą pokutującego za złe uczynki. Nasilające się przygnębienie mogłoby jednak doprowadzić do bardzo poważnych konsekwencji, gdyby nie zlot czarnoksiężników i wiem, na który wyciągnęli Złodejrusa starzy przyjaciele. Tam za sprawą pewnej ponętnej, równie pięknej co wrednej wiedźmy dokonały się ponowne narodziny naszego czarnoksiężnika. Urodziwa czarownica powiedziała mu, że jest uroczy taki, jaki jest i że ona zabrania mu się zmieniać. Złodejrus odetchnął z ulgą, gdy wrócił do wyznaczonej mu przez naturę roli czarnego charakteru. Poczul się znów na swoim miejscu, a z ponętą wiedźmą spłodził mnóstwo uroczych (ale jeszcze bardziej wrednych niż oboje rodzice) pociech, które wiele krwi napsuły bohaterom innych bajek.

A książę? Książę nadal czytał równie namiętnie i jeśli jeszcze nie umarł, nadal pewnie czyta coś w swojej bibliotece. Choć krążyły słuchy, że i on padł ofiarą Amora. Otóż ponoć miał ulec któregoś razu pokusie wyjścia na zielone, bezkresne pola i zabłądziwszy, miał przypadkiem trafić do chatki, równie zwariowanej na punkcie książek co on, pustelnicy-okularnicy. Ponoć jej modre oczęta, patrzące inteligentnie zza grubych szkieł okularów w rogowej oprawie, anemiczna, blada cera oraz piętno niepospolitego intelektu wyciśnięte na jej fizjonomii zniewoliły go zupełnie. Mieli odtąd nachyleni nad jedną książką wspólnie zgłębiać myśli różnych mądrych ludzi. Zaś gdy czasem, oczywiście niechcący, przy przewracaniu kartki ich ręce spotkały się, mieli czerwienić się oboje i spuszczać z zawstydzeniem oczy. O potomstwie nic się nie wspomina. Tyle wieść gminna. Ale to chyba tylko wyssane z palca plotki. A wam jak się zdaje, mili czytelnicy?

Gdynia 1996.04.28.

ZAGŁADA MAŁEJ CHATKI

DRAMAT (A WŁAŚCIWIE TRAGEDIA W JEDNYM AKCIE)

OSOBY:

MARIA (potem RACHELA, dawniej MAŃKA)

LOLO - mąż Marii

STACH - kochanek Marii

KASIA - sługa

BLASZANY PARAPET - rola epizodyczna

Rzecz dzieje się w małej chatce (otoczonej ogromnym parkiem), położonej w pobliżu niewielkiego miasteczka.

AKT PIERWSZY (i ostatni)

Mała, drewniana chatka. Przytulny pokój w ciepłych, jesiennych barwach. Na ścianach portrety brodatych przodków, odzianych w stalowe zbroje lub kontusze (dom z tradycjami!!). Stolik z pokręconymi nogami przykryty koronkową, zszarzałą serwetą, takie same koronkowe firaneczki w oknach. Po prawej stronie duże lustro w czarnej, metalowej oprawie. Ciemna szafa koło okna, za oknem park. Chwieją się delikatnie na wietrze drzewa, cicho opadają kolorowe liście. O blaszany parapet melancholijnie stuka wielkimi kroplami jesienny deszczyk. Miarowo tyka zegar.

SCENA I

KASIA i MARIA siedzą przy stoliku.

KASIA

(ubrana w ludowy strój krakowski, zdrowa, rumiana, krzepka chłopka)

Oj dana dana, ulepiłoby się bałwana! Żeby to tylko ta jesień się tak już skończyła!

MARIA

(szczupła, wiotka, odziana w białą, lejącą się, długą suknię. Na głowie olbrzymi, biały kapelusz, przystrojony kwiatami. Oczy przymknięte, omdlewająco wyciągnięta na swym krześle)

O tak, jesień! I ten deszcz! O *szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...* Ach!!

KASIA

Jo! Pada, ciągle pada, ale deszcz, nie śnieg. A ja by se tak bałwana ulepiła. Może jakbym go w nos pocałowała, to by to w jakiego śniegowego królewica się przepoczwarzył...

MARIA ze zniecierpliwieniem

E, jakaś ty głupia!

Wstaje ze swego krzesła. Nerwowym ruchem ściąga z głowy kapelusz, odsłaniając swe złociste włosy, piętrzące się na jej głowie w gigantycznym koku (dwa luźne pejsy puszczone swobodnie wzdłuż twarzy!)

Trywialna, pospolita chłopka! Za grosz poetyczności! Cuchnie od ciebie oborą na kilometr.

KASIA lekko urażona

A bo pani teraz taka dziwna! Z panią to teraz dogadać się wcale nie można. Pani to teraz jak... no ... jak pani. Nie to co przedtem. W podartej sukni, rozczochrana... Jak z równą się gadało. A i pan Stach to wziął panią za mnie. Co to śmichów było! A teraz...

MARIA

Teraz ja taka szczęśliwa...

przeciąga się miękkiem, kocim ruchem

Ach, jaka ja teraz szczęśliwa.

KASIA

A bo to i pani wygląda teraz inaczej. Ta suknia, ta fryzura, ale i z oczów pani taki blask bije... Pani cała promienieje... w aureoli cała niby święta jaka z obrazka.

MARIA

Doprawdy?

przeglądając się w lustrze

Ach, Stach! Ty żeś mnie taką uczynił...

KASIA ze zdziwieniem

Stach??!

MARIA

Paszła głupia sługa!

KASIA

Idę, już idę, czego się tak złościć zara.

Wychodzi. W drzwiach zderza się ze STACHEM.

SCENA II

TEŻ, STACH

STACH

(urodziwy, elegancki młodzian o manierach światowca)

Ach!

KASIA

Och!

ucieka

STACH poprawiając frak

Mario!

MARIA głośno, stanowczo zbyt głośno

Stach! Ja kooocham ciebie!!

rzuca się mu na szyję (o szyby i blaszany parapet wciąż dzwoni deszcz jesienny)

Aaaach!

STACH nerwowo rozglądając się dookoła

Na Boga, ciszej. Jeszcze kto usłyszy.

MARIA tonem szalonej

A co mi tam! Ja szczęśliwa! Czego się lękać ?!

STACH

Skandalu na litość boską! Ja *slaby, niebaczny, rozdwojony w sobie...* Tfu! Miej litość nade mną! Ja bardzo takich rzeczy nie lubię. A twój mąż taki brutalny...

MARIA nie słuchając

Życia mi dajcie! Chłopa mi dajcie! A ja się nie dam! Ja żyć chcę! O jak ja żyć chcę teraz... Stach! Ja nie mogę żyć tak jak przedtem! Ja już nie chcę i nie mogę! Stach! Całuj! Bierz mnie! Pieprz! Obracaj!! Aaaaaach!!

skręca się z rozkoszy

KASIA wbiegając

Pani! Pan przyjechał!

STACH przerażony

Jezusiczku! Ach!

Wybiega. Deszcz głośniej dzwoni o blaszany parapet

MARIA

Stach! Czekaj! Ja żyć bez ciebie nie mogę! Gdzie ty, tam i ja! Stach!

W drzwiach staje LOLO, przemoczony przez jesienny deszcz. Wchodzi.

SCENA III

MARIA, LOLO

LOLO

(Hm... Po prostu duży mężczyzna)

Co ty tam, Mańka, bełkoczesz pod nosem? Maniś, to ty?!!

MARIA

Ano ja!

LOLO osłupiały i zachwycony, oczy lekko wytrzeszczone

Tak ci oczy błyszczą... ta suknia... i włosy inaczej upinasz... Ty jesteś... jesteś...

MARIA figlarnie

No, wykrztuś to z siebie wreszcie!

LOLO

Jesteś piękna... Tak piękna, że cię nie poznałem!!

MARIA śmieje się zalotnie

Cha! Cha! Cha!

LOLO

Żeby wiedział, że taka żonka na mnie czeka... chyba wcale bym nie wyjeżdżał!

chce ją pocałować

MARIA z obrzydzeniem na twarzy

Nie!...

LOLO gniewnie

A to co!!!??

chce ją pocałować po raz wtóry

MARIA energicznie, z jeszcze większym obrzydzeniem na twarzy

Och, nie, nie, nie!!

z pasją

Nie, nie, nie, nie, nieeee...

LOLO brutalnie chwytając ją za ramiona i potrząsając nią kilkakrotnie

Co to za fochy! Ze mną nie ma takich żartów! Ja człowiek czynu! Siłą biorę, co mi się opiera! Nie dbam o to, czy mnie lubisz teraz, czy nie. Ja chcę cię całą! MUSISZ być moją!!!

MARIA rozpacznie

Nie! Nie!

LOLO trzęsąc nią dalej

.....!!!

MARIA jak wyżej

Nie! Lolo proszę!!

Z jej bujnej fryzury sypią się szpilki. Gęstwina złocistych pukli rozwija się na całą swoją długość i z hukiem uderza o podłogę. Zaraz potem słychać grom.

LOLO

Co kryje się w twych oczach! Gdzie jesteś!?

Deszcz dudni o parapet coraz natarczywiej

MARIA odchylając do tyłu głowę pod ciężarem swych rozpuszczonych włosów
Aach!

LOLO brutalnie

Z kim jesteś, bo nie ze mną. Tyś mi teraz jak obca! Zdradziłaś mnie!

Bije Marię po twarzy. Ta słania się pod jego ciosami. Bezwładnie opada na ścianę. Lolek chwyta ją za gardło.

MARIA charcząc

Chrrrr...rryyr....

nagle innym tonem

To boli idioto!

LOLO zmieniając się na twarzy, jakby przestraszony

.....?

nagle znów brutalnie

Ma boleć! Jak ty ze mną, tak ja z tobą! Niech cię boli, tak jak boli mnie moje męskie ego, skoro wiem, że moja żona to puszczańska suka!

Rzuca nią o ścianę, raz, drugi, trzeci. Obrazy przodków spadają, chatka drży w posadach. Pędzone wiatrem tabuny mokrych, kolorowych liści przylepiają się do szyby

MARIA cicho, omdlewając

Lolo, nie!

Oczy opalizują jej niesamowicie i dziwacznie, ciemnieją. Złociste, rozpuszczone włosy też ciemnieją! Paznokcie wydłużają się...

LOLO namiętnie

Maniuś! Tyś tak kurewsko piękna!... Ale ty o nim, suko, o nim wciąż myślisz!!

Rzuca nią w kąt, na swoje biurko zawałane papierami

MARIA chwytając bladym, bezsilnym ramieniem duży nóż do papieru

A masz!! Giń bestio!!

wbija parokrotnie nóż w ciało Lola

LOLO

A! A! A!

Krwawi (obficie). Krew tryska z niego strumieniami na boki, ciecz na ściany, podłogę, sufit... Suknia Marii ze śnieżnobiałej robi się krwistoczerwona... Błaznany parapet pod naporem jesiennego deszczu odrywa się od okna

BLASZANY PARAPET spadając

BAM!!! Aaaaajaj!

Słychać siekące bezlitośnie ziemię strugi deszczu, okno jest już całkowicie zalepione liśćmi, grzmi...

MARIA podniecona

Deszcz! Krew! Krew, krew, deszcz... Ach!!!

LOLO cały czas sikając krwią

Ach jak dobrze!

nagle innym tonem

Zmieniłaś kolor włosów?

MARIA zdziwiona

Nie.

LOLO

Dałbym głowę, że jak wyjeżdżałem byłaś blondynką! Przed chwilą zresztą chyba też ?!

MARIA

*puszcza nóż, chwyta się za krucze loki i podbiega do lusterka.
Ze zdziwieniem*

Rzeczywiście. Jaka jestem ładna! Wolisz mnie jako blondynkę czy jako brunetkę ?!
Odwraca się do niego

LOLO z zachwytem

Maryś! Jakaś ty piękna!.... Ale zabiję jak psa: jego i ciebie!
Wyjmuje z kieszeni rewolwer, który lśni metalicznie w blasku błyskawic za oknem

MARIA

Loluś! Nie! Proszę! Jam nie twoja, serce innemu oddałam, ale żyć chcę! Teraz tak bardzo żyć pragnę!!
Ika

Czemuś ty mnie wcześniej nie zastrzelił ?! Wcześniej trzeba było, ale nie teraz!
podnosząc głowę, ze łzami w oczach i emfazą w głosie

Nie teraz, gdy po raz pierwszy czuję, że żyć pragnę! Lolus, ja żyję teraz dopiero!

LOLO

Maryś! Boże, jakaś ty piękna!!! Przebaczam ci wszystko!
Rzuca z pańska rewolwer za siebie. Ten upada glucho i wypala akurat w chwili, gdy do pokoju wchodzi

KASIA

KASIA

Ooach!

pada

MARIA z niepokojem

Co to ?

KASIA konając

To ja... umiera... mm...

LOLO zwierzęco, z pasją

Maryś, tyś moja! Chcę cię!!

Zalepiona liśćmi szyba pęka pod naporem wichury. Kawałki szkła i mokre liście wpadają do pokoju, wiatr rozdyma koronkowe firanki

LOLO ze złością

Zamknąć to okno do cholery! Popieprzyć się spokojnie z żoną nawet nie można na tym zadupiu!

MARIA

bezdradnie rozpościera ramiona, opierając się bezsilnie o ścianę. Oczy na wpół przymknięte, dyszy namiętnie, rozchylone chciwie usta przybierają coraz intensywniejszą barwę
Aaach! Aaaa

LOLO gwałtownie, zastawiając rozbite okno szafą

Cicho Maryś! Twój Lolus już idzie.

MARIA gładząc się po piersiach, miękko

Ach ta krew...

nagle gwałtownie, jakby sobie coś przypominając
Nie widziałeś we mnie dotąd kobiety!

LOLO speszony

No nie. Taka szaraś była zawsze i nijaka! Bachora ci zrobiłem, to i hajtnąć się trzeba było, człowiekiem honoru w końcu jestem. Ej Manius, głupiasz ty jak dawniej...

MARIA jeszcze gwałtowniej

Zabawką byłam dla ciebie! Zaspokojeniem dla twych rozpasanych chuci! Ale nigdy kobietą! Nigdy człowiekiem! Więc pomszczę się, jakem RACHELA!

Słyszc grom. Lolo cofa się przed demoniczną Rachelą, ta idzie prosto na niego. Oczy płoną jej dziko, piersi falują złowieszczo, rosna gwałtownie, rozrywając stanik i gorset... Wichura zrywa dach...

LOLO zachwycony

Maniuś, żebym ja wiedział, że ty taka!

RACHELA jakby nie słysząc, groźnie

Ale, gdy ktoś inny uczynił ze mnie kobietę, twe męskie, próżne ja poczuło się urażone w swej męskiej pysze! Zużyta, stara zabawka nabrała atrakcyjności, gdy sięgnął po nią ktoś drugi!

Wbija mu w szyję długie, ostre zęby

LOLO rozpacznie

Aaaaaa!

Lolo kurczy się powoli jak balon, z którego uchodzi powietrze, Rachela ze smakiem wysysa z niego resztki ciepłej krwi, oblizuje się. Trzeszczą ściany, pada jesienny deszcz (nie ma już dachu). Wichura porywa co lżejsze sprzęty. Martwy Lolo osuwa się na mokrą podłogę, po środku sceny stoi dumnie demoniczna Rachela z falującym, obnażonym biustem i rozwianym, kruczym włosom.

SCENA IV

TAŻ, TRUP LOLA, STACH

STACH z przestraczem wbiega do pokoju

Mario!

MARIA grobowym głosem

Nie Mario, a Rachelo!

STACH jak wyżej

Boję się ciebie takiej! Co zrobiłaś z Lolem!? O Boże! Mój Boże!

RACHELA jak wyżej

Ma to, na co zasłużył! Ale ty się nie bój! Ciebie zbyt kocham, aby zrobić ci coś takiego.

STACH podchodząc ostrożnie do wyssanego trupa Lola

O Boże!

chwytą się za serce, chwieje się

Ach!

pada

RACHELA rozpacznie

Stach!

przejmująco

Nieeee!

Wichura rozwała drewniane ściany. Mała chatka przestaje istnieć. Wiatr roznosi resztę sprzętów (szafę i stolik), nasilając się po chwili unosi również wszystkie trzy trupy (Kasi, Lola i Stacha). Potem porywa i samą Rachelę. Tę ostatnią rzuca z impetem na pobliskie drzewo. Rachela obejmuje jego pień swymi jędrnymi udami i wśród grubych, mocnych konarów, w ogłuszającym huku błyskawic, przeżywa krótki orgazm. Trochę rzyga krwią. W końcu zwisa bezwładnie w dół, zmęczona tym wyczerpującym dniem. Wichur uspokaja się, ale nadal mży jesienny deszcz...

KURTYNA

P.S. Serdeczne podziękowania za natchnienie duchowi Tadeusza Rittnera.

Gdynia 24.12.1996.

BAJKA NA DOBRANOC

Już trzeci dzień królów Henryk siedział zasmucony na wielkim głazie pod murami zamku królowy Klaudii. Klaudia nie chciała go dopuścić do siebie. Jednego dnia się kąpała, drugiego ubierała, a tego dnia myła i suszyła włosy, a że miała je bardzo długie, Henrykowi powiedziano, że także potrwa to bardzo długo. Było już południe, ale rzeczywiście z pobliskiego okna dolatywał szum suszarki elektrycznej i lekko fałszywy kobiecy śpiew.

Zasmucony Henryk siedział więc dalej na głazie, gdy nagle podeszła do niego jakaś drobna, wiotka istotka. Potykała się co chwila o zbyt długą suknię, ale jej twarz rozjaśniał promienny uśmiech.

- A ty wciąż tu siedzisz? - zapytała wesoło, ale i współczująco zarazem.

- A cóż mam robić? - powiedział smutno królów Henryk. - Czekać i starać się nie tracić nadziei.

- Znow cię nie wpuściła - rzekła drobna istotka z dziwnym błyskiem w oku i poprawiła wyraźnie za dużą na jej małą główkę stożkową czapkę z długim welonem.

- Ach, gdyby pozwoliła mi choć raz z sobą porozmawiać - westchnął Henryk. - Jestem w końcu wcale przystojnym królów Henrykiem, umiem też ładnie mówić, znam dwa wierszyki na pamięć, z pewnością więc zdobyłbym jej serce, choćby było i z kamienia... Ale ona nie daje mi nawet najmniejszej szansy!

- Masz szczęście, żeś spotkał mnie! - zawołała istotka w stożkowej czapce. - Wróżka Zenobia do usług. Masz problemy sercowe? Masz kłopoty w pracy? Zadzwoń! 0-022 36 459... Och, przepraszam. Zapomniałam, że to nie reklama w telewizji. A więc trafiłeś na odpowiednią osobę! Doprowadzę cię do pięknej królowy Klaudii - jakem Zenobia!

- Naprawdę!? - zawołał królów Henryk.

- Naprawdę - powiedziała Zenobia. - Za mną!!

I poszła wzdłuż muru, stukając w niego swą czarodziejską różdżką w kształcie gwiazdki.

- O! - zawołała. - To tu! Tajemne wejście do komnat królowy.

I rzeczywiście, w murze ukazały się niewielkie, drewniane drzwiczki.

- Za mnąaaaaooooaaaa! - wrzasnęła Zenobia, ginąc w ciemnościach zapadni, jaka znajdowała się za progiem. Niewiele myśląc Henryk skoczył za nią w tę ciemną czeluść - jak krzyczy: „za mną”, to trzeba słuchać! Spadali długo, aż wreszcie znaleźli się w niewielkim, mrocznym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. Zenobia, poprawiając czapkę, która spadła jej na oczy i wyplątując się z niemałym trudem z welonu i długiego trenu swej sukni, wstała powoli.

- Drobna zmiana planów - powiedziała. - Ale wyciągnę cię z tego! Nic się nie martw!

Henryk rozejrzył się dookoła. Nie, nie było tu przyjemnie i z pewnością nie była to komnata królowy.

- Holender! - zawołała Zenobia, waląc różdżką w ścianę. Różdżka wydawała dziwne odgłosy i lekko iskrzyła. - Znow się popsuła. I to akurat teraz! Te dzisiejsze różdżki są coraz gorsze. Psują się już po dwóch tygodniach. A oczywiście są coraz droższe. Ale to nic. Mam jeszcze czarodziejski pantofelek. Magiczny kopniak w ścianę powinien wybawić nas z opresji - to mówiąc Zenobia z rozmachem kopnęła kamienny mur. Lekko zawyla z bólu, coś zaskwierczało, a w pomieszczeniu pojawił się duży, złocisty smok o wściekłych, przekrwionych oczach i dwóch rzędach ostrych, lśniących białych zębów. Smok kłapał paszczą tuż przed nosem Zenobii.

- Cóż za użębienie! - powiedziała z uznaniem.

Zadowolony potwór uśmiechnął się i rzekł:

- Pasta DENOLUX !! Polecam! Zapobiega próchnicy i neutralizuje atak zębów na kwasy, czy tam odwrotnie. Ale prawda, wam nie będzie już potrzebna - przypomniał sobie smok. - Czas na moją przekąskę! Które pierwsze!?

Zenobia krzyknęła przerażona. Ale Henryk zawołał:

- Nie będzie żadnej przekąski! - Chwycił swymi silnymi rękami smoka za głowę i skręcił mu sprytnie kark. Tylko coś chrupnęło.

- Ach, jakiś ty dzielny! - powiedziała Zenobia.

- E, to nic wielkiego - rzekł królów Henryk. - Lata praktyki. Nie takie smoki zabijałem! W mojej rodowej puszczy co dzień moczuję się z niedźwiedziami, ot tak, dla rozgrzewki!

- Teraz wam się już nie uda! - zawołał nagle jakiś głos, a na jednej ze ścian ukazała się w olbrzymim powiększeniu głowa królowy Klaudii.

- Klaudia! - zawołał królów Henryk i poczuł błogość w sercu.

- Cha! Cha! - zaśmiała się chrapliwie Klaudia. - Nie rób takich maślanych oczu. Ta idiotka wpisała was w moją grę komputerową. Macie trzy życia, ale potem giniecie naprawdę. Nie życzę wam szczęścia, bo nie chcę przegrać. Gracie po stronie komputera i macie właściwie duże szanse, bo dopiero uczę się tej gry...

- Klaudio, co ty mówisz - zawołał Henryk. - Kocham cię, chcę się z tobą ożenić!
- Spójrz lepiej pod nogi, głupcze - rzekła Klaudia. - Chyba was załatwiłam.

Henryk spojrział w dół, jak mu kazała królowna. Całe pomieszczenie z wolna wypełniało się wodą, a jej poziom powoli się podnosił.

- Żegnam - powiedziała Klaudia. - Macie jeszcze dwa życia. Cha! Cha!

- Coś ty narobiła! - zawołał Henryk do Zenobii. Zdenerwował się nie na żarty. Woda sięgała im już do kolan!

- Nie krzycz na mnie - płaczliwie powiedziała Zenobia. - Chciałam jak najlepiej. Ale znów mi nie wyszło. Wszystko jak zwykle popsułam. Wyrzucili mnie już z kilku bajek, teraz wyrzucą mnie i z tej... Chciałam być po prostu pożyteczna... Chciałam się na coś przydać... Jak człowieka tak ciągle wyrzucają i nic mu się nie udaje, to jest to bardzo przykre... Auuuu! Jestem do niczego! - i rozpląkała się tak gwałtownie, że poziom wody, i tak stale rosnący, podskoczył nagle o kilka centymetrów.

- No nie płacz - powiedział poważnie zaniepokojony Henryk. - Już dobrze, tylko nie płacz.

- Boję się - zawyła Zenobia. - Nie chcę umierać, nawet jeśli rzeczywiście mam jeszcze dwa życia.

Woda sięgała Henrykowi już powyżej pasa, a że Zenobia była znacznie niższa, stała w wodzie zanurzona po pachy.

- Boję się - zawołała ponownie. Henryk przygarnął ją do swej męskiej, szerokiej piersi. Żal zrobiło mu się tej drobnej istotki. Zresztą wydała mu się nawet niebrzydka. Woda sięgała Zenobii już po szyję. Henryk podniósł wróżkę do góry. Właściwie to była nawet ładna. Woda przybierała coraz bardziej. Henryk spojrział w dwoje przerażonych, zielonych oczu Zenobii. Właściwie to była piękna i taka bezbronna... Gniew zawrzał w szlachetnej piersi młodego królewicza, gniew słuszny, a równie słuszne oburzenie wstrząsnęło całą jego roslą i silną postacią.

- Nie!!! - krzyknął nagle. Wyciągnął gwałtownie w górę swą potężną prawicę i ... stłukł monitor komputera Klaudii. Bez trudu wyskoczył z ekranu, pomógł wyjść Zenobii - długa, mokra suknia nieco krępowała jej ruchy. Klaudia stała osłupiała przed nimi. Miała teraz bardzo głupią minę.

- Właściwie to wcale nie potrzebuję tej zarozumiałej królowny - powiedział Henryk do Zenobii, którą trzymał teraz na rękach. - Wezmę za żonę ciebie!

- Och! - zawołała Zenobia, spojrziała mu czule w oczy i wytknęła język Klaudii.

- Woda ciągle przybiera - z niepokojem zauważyła Klaudia. Była chyba trochę przestraszona.

- Radź sobie sama - powiedział Henryk. - To twój komputer!

- Masz przecież z pewnością jeszcze ze dwa życia - powiedziała szczęśliwa Zenobia. I oboje wyszli z komnaty królowny, a potem żyli długo i szczęśliwie, no i mieli dużo, dużo dzieci. Ale to już inna bajka.

P.S. Klaudii nic się nie stało. Po prostu wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i komputer przestał działać.